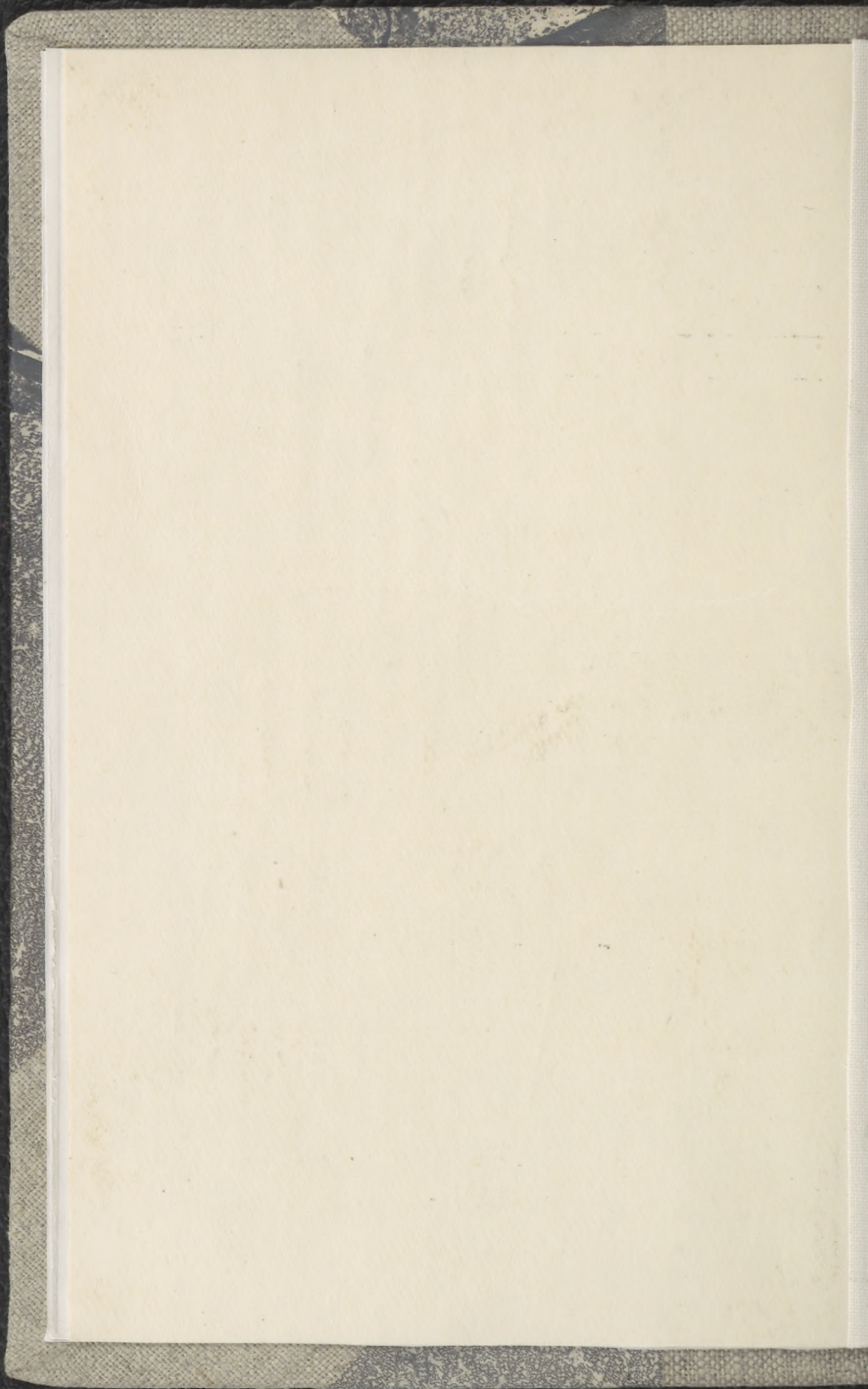


Cecylja niewiadomska

powiastki
króciutkie



Beanne
Wolff

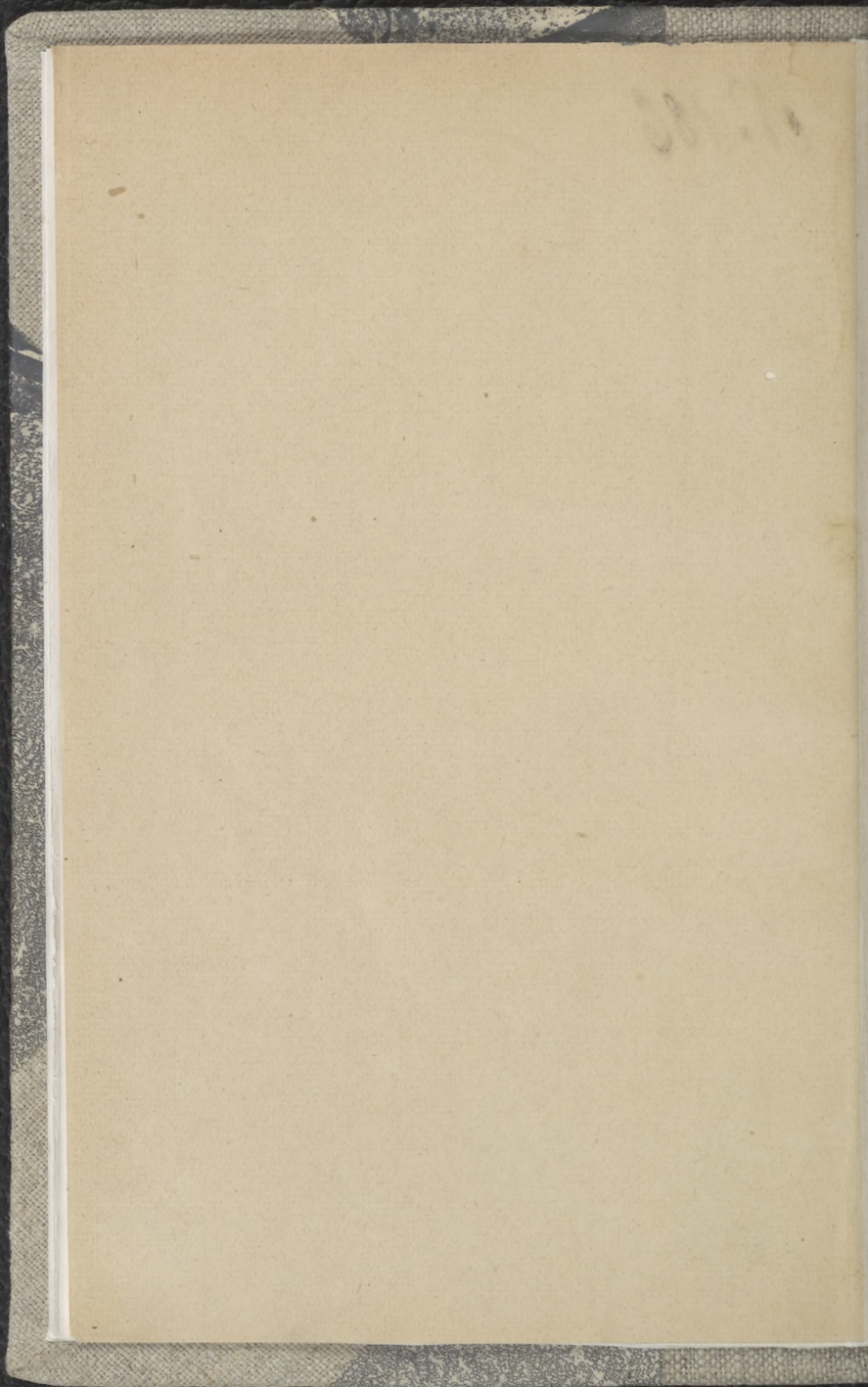


N. 186

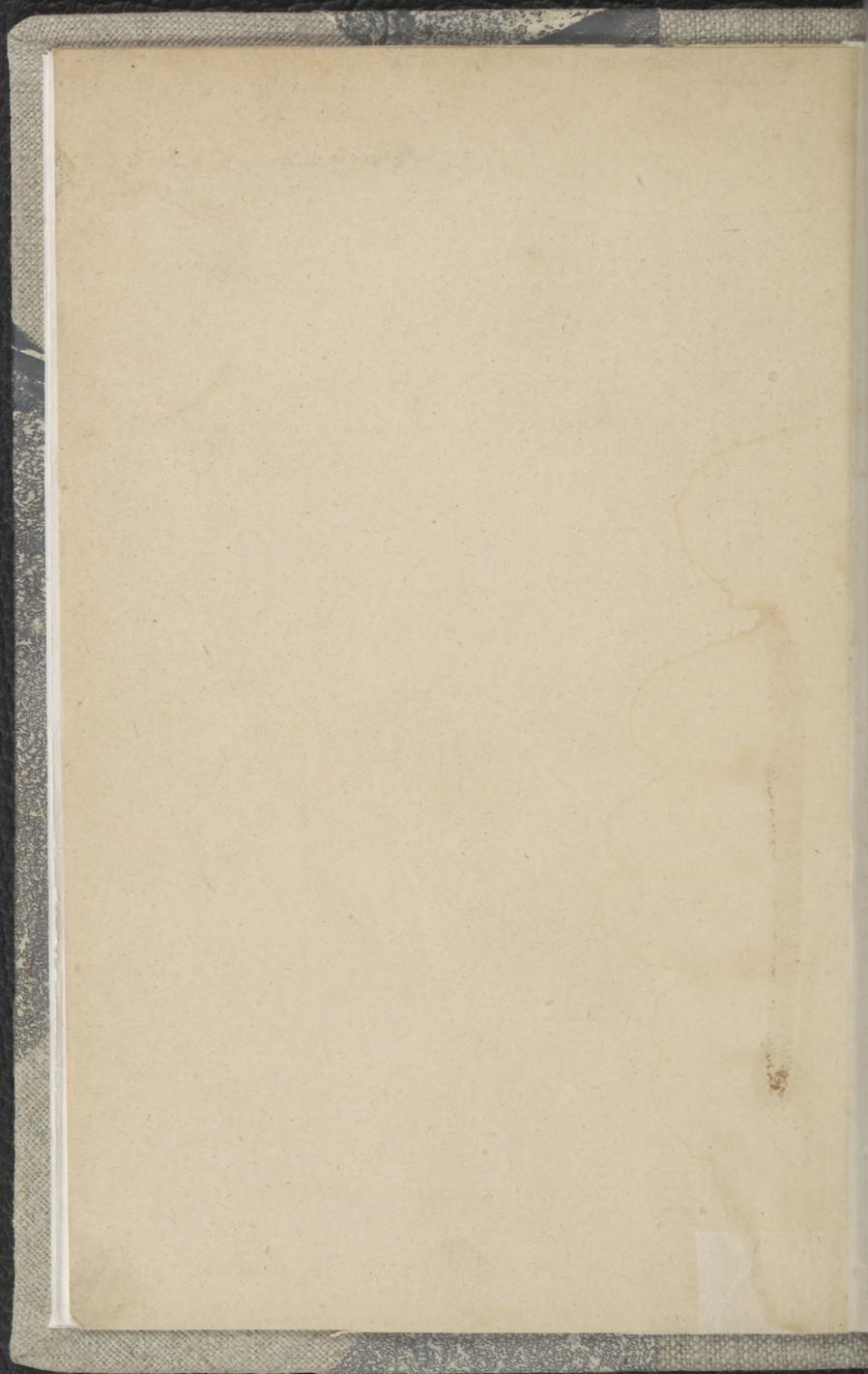
1.467.397



2-436



POWIASTKI KRÓCIUTKIE



3

309
CECYLJA NIEWIADOMSKA

POWIASTKI KRÓCIUTKIE

DLA MAŁYCH DZIECI

Z RYSUNKAMI J. HOLEWIŃSKIEGO

WYDANIE PIĄTE



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



1.467.397



Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa

1932

1989 K 365/165

Dobra Andzia.



Andzia z rodzicami wracała z ogrodu. W ręku niosła ostrożnie dużą torebkę prześlicznych czereśni, które tatuś kupił w owocarni.

Wtem małe jakieś dziecko, przechodząc ulicą, upadło na kamienie i zaczęło płakać. Andzia podbiegła natychmiast do malca, po-

mogła mu się podnieść i dała kilka wisien.
Dziecko przestało płakać i patrzyło na nią
śmiejącami się, dużymi oczyma, a Andzi było
tak wesoło, jakby ją wielką przyjemność spo-
tkała.

Czy też wiecie dlaczego?



Przyjaciel zwierząt.

Pięcioletni Julek bardzo dobrym był chłopczykiem, kochali go też wszyscy, a najbardziej Zosia, młodsza jego siostrzyczka.

Raz zaświeciło jasne, ciepłe słońko, Julek wziął za rączkę Zosię i razem wyszli do ogrodu.

Ślicznie tu było, pełno kwiatków, zieleności, ptaszki śpiewały, motylki fruwały.

Dzieci też zaczęły biegać, śmiać się, kłaskać w rączki.

— Patrz, patrz! — zawołała Zosia. — Jaka ładna malutka, czerwona biedronka! O, złapałam ją! Schowam teraz do szklanego pudełeczka. To będzie mój kanarek.

— Ach, nie rób tego! — przemówił Julek przestraszony. — Jej byłoby okropnie smutno, a jej mama płakałaby pewno i szukała swojej córeczki.

Kłótniki.



Oddaj mi bat! to mój! — wołał Ignas.

— Przecież ci go nie ugryzę.

— No, oddaj zaraz!

Lutek rzucił bat na ziemię.

— Nie rzucaj mego bata! podnieś go
w tej chwili.

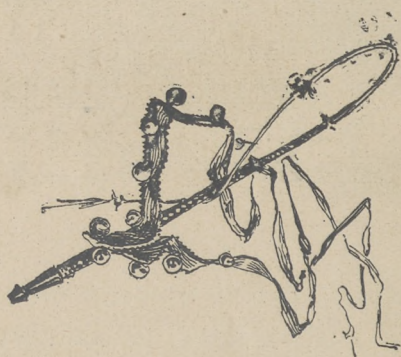
— Ani myślę. A to moje lejce, poco je zabrałeś!

— Będziemy się bawili w konie.

— Nie chcę się z tobą bawić, oddaj moje lejce.

Ignaś rzucił lejce na ziemię.

Każdy poszedł w inną stronę i, zagniewany, nudził się osobno. A gdyby się nie kłócili, jak przyjemnie mogliby pobawić się razem.





Piesek Eli.



Ela dostała pieska, który się nazywał Łobuz. Łobuz był nieduży, czarny, bardzo posłuszny i czujny — obcego zdaleka poczuł i zaraz szczekał głośno. Tylko wody nie lubił, i jeśli deszcz padał, to za nic

w świecie nie chciał wybiec na podwórze; na drodze każdą kałużę omijał, żeby łapek nie zamoczyć.

Kiedy nastało lato, Ela poszła z mamą do kąpieli do rzeki. Łobuz pobiegł za nimi, ale skoro zobaczył, że pani jego weszła w wodę, zaczął szczekać i piszczeć, biegając po brzegu, jakby wzywał ratunku.

Nakoniec widząc, że nikt nie nadchodzi, z okropnym piskiem sam wskoczył do rzeki i zaczął płynąć ku dziewczynce.

Ela go wyniosła na brzeg i pogłaskała za ten dowód przywiązania.

**Nie czyni drugiemu,
co tobie niemiło.**

Józia i Henio biegali po łące, zrywali kwiatki, gonili motyle, ścigali się, pomagali robotnikom przewracać skoszoną trawę.

Wtem blisko lasu pomiędzy krzakami Henio spostrzegł wysoki kopiec z igieł sosnowych i małych gałązek.

Mrowisko! — zawołał chłopczyk i już podniósł nogę, aby kopnąć pagórek, kiedy Józia z całej siły pociągnęła go za kurtkę.

Henio spojrzał na nią zdziwiony.



— Cóż tak bronisz tego mrowiska? —
zapytał.

— Ach — rzekła Józia — czyby nam
było przyjemnie, gdyby nam kto psuł nasze
domy?

Jałmużna.



Helenka poszła z mamą do ogrodu. Gdy wracały, kobieta jakaś z małym dzieckiem stała na ulicy i, wyciągając rękę, prosiła przechodniów o wsparcie.

Mama wyjęła parę groszy z portmonetki i kazała Helence oddać je ubogiej.

— Niech panienczkę Bóg pobłogosławi — rzekła kobieta.

Helenka się zaczerwieniła.

— To od mamy, szepnęła, a ode mnie — ja nic nie mam, tylko — te kwiatki.

I podała ubogiej śliczny bukiet, który mama kupiła jej w ogrodzie.

Brat i siostra.



Romuś i Walunia bardzo lubili łąkocie. Raz na spacerze ciocia wyjęła z koszyczka dwa różowe karmelki i dała dzieciom po jednym. Radość była wielka. Romuś i Walunia śpiewali i podskakiwali, oglądając śliczne łąkocie i połykając ślinkę.

Wtem Romuś potknął się, upadł, a karmelek jak żywy wyskoczył mu z rączki i wpadł do błotnistej kałuży.

Chłopczyk rozplakał się głośno i choć ciocia obiecywała, że dostanie w domu jeszcze ładniejszy cukierek, uspokoić się nie mógł.

Wtedy dobra Walunia oddała mu swój karmelek, mówiąc:

— Masz, nie płacz, ja zaczekam, aż wrócimy do domu.

Niezgodne rodzeństwo.

Mania, Władzio i Cesia bardzo często się sprzeczali i skarżyli na siebie. Mama się tem martwiła, bo myślała nieraz, że te dzieci wcale się nie kochają.

Ale pewnego razu Władzio zachorował; siostrzyczkom nie pozwalano wchodzić do jego pokoju, widziały tylko, jak doktor nosił tam różne flaszeczki. Mama chodziła smutna, stapała cichutko, i one też straciły ochotę do zabawy. Ciągłe sobie przypominały swoje sprzeczki z Władziem i żal im było — chciałyby go teraz przeprosić, a tam nawet wejść nie można...

Usiadły w kąciку obie i szeptały cichutęńko, że skoro Władzio wyzdrowieje, nigdy już, nigdy sprzeczać się z nim nie będą.

I dotrzymały słowa. Władzio wyzdrowiał, i odtąd bawili się zawsze zgodnie, i było im z tem dobrze i wesoło.

A mateczka najbardziej się cieszyła.

Kasztanek Jurka.



Jurek miał
s w e g o
w ł a s n e g o
k a s z t a n k a .
Śliczne to by-

ło zwierzę: zgrabny, żywy, z ciemną, błyszczącą sierścią, długą grzywą i dużymi oczyma. Jurka znał bardzo dobrze i rzał głośno, kiedy chłopczyk wchodził do stajni. Jurek przynosił mu często kawałek chleba lub cukru, a konik tak ostrożnie brał z jego ręki te przysmaki, że nigdy mu nic złego nie zrobił.

Raz chłopczyk pojechał z ojcem na swoim kasztanku, ale na drodze pies wysko-

czył nagle, koń się przestraszył i Jurek spadł na ziemię.

Nic mu się złego nie stało, tylko trochę stłukł nogę i nie mógł przez kilka dni wychodzić z domu. Przez cały ten czas kasztanek był bardzo smutny i nawet jeść nie chciał; dopiero kiedy chłopczyk znowu pokazał się w stajni, powitał go radosnem rżeniem, wachał i oglądał, jakby się chciał przekonać, że przyjaciel jego jest zdrow zupełnie.



Pytanie Irenki.



Irenka pojechała z mamą daleko, do morza, w którym obie miały kąpać się dla zdrowia. Morze podobało się bardzo Irence, ale było jej smutno w obcym mieście, gdzie wszyscy rozmawiali po niemiecku. Irenka nie

umiała po niemiecku i dlatego rozmawiać mogła tylko z mamą.

Raz gospodyni domu przyniosła jej kotka. Ucieszona Irenka bawiła się z nim, pieściła i przemawiała do niego.

Nagle umilkła, spojrzała na mamę, na kotka, i zapytała poważnie:

— Mamo, czy tu i kotki miauczą po niemiecku?

Podwieczorek.

Jadzia i Zosia robiły robótkę w altance, a mama im przyniosła pyszny podwieczorek: śliczne, dojrzałe poziomki z cukrem i z mlekiem. Dziewczynki odłożyły szycie i jadły z apetytem wyborne owoce i mleko.

Wtem spostrzegły na grządce o kilka kroków Jagusię, która od rana wrywała ziel-sko, a teraz wyjęła kawałek chleba z kiesze-ni, usiadła i także jeść zaczęła.

Jadzia i Zosia spojrzały na siebie.

— Idź po talerz — rzekła Zosia.

Jadzia pobiegła zaraz, przyniosła czysty talerz, potem każda z dziewczynek oddała po

kilka łyżek mleka z poziomkami i poczęstowały Jagusię.

Oj, smakował jej taki podwieczorek. Ale Jadzi i Zosi jeszcze przyjemniej było, daleko przyjemniej, niż gdyby same dostały co dobrego od mateczki.

Krzyżyk.



Mama zawiesiła nad łóżeczkiem Jasia czarny krzyżyk.

— POCO zawiesiłaś ten krzyżyk, matu-siu? — zapytał Jaś ciekawie.

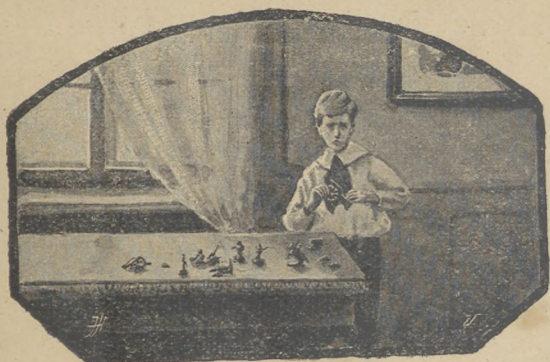
— Poto, syneczku, żebyś pamiętał za-wsze, że choć mamy niema w pokoju, Pan Bóg na ciebie patrzy.

Po obiedzie Jaś bawił się w pokoju. Wtem usłyszał tętent koni na ulicy. Wojsko idzie! pomyślał i prędko wszedł na okno; chciał nawet otworzyć lufcik, ale się obejrzał i spostrzegł czarny krzyżyk nad łóžeczkiem.

Choć mamy niema, Pan Bóg mnie widzi — myślał i zawstydził się, bo mama nie pozwalała mu wyglądać oknem, jeżeli przy nim nikogo nie było.

Zszedł też zaraz na podłogę i zawołał Kazimierę, żeby przy nim stanęła. Teraz spokojnie mógł patrzeć na wojsko.

Żołnierze.



Ta d z i o miał brzydki zwyczaj: wszystko psuł i niszczył: plamił i darł sukienki, psuł zabawki, nieraz nawet nożyczkami wycinał dziury w poduszkach, w dywanie. Mama gniewała się bardzo, karała go, ale to nic nie pomagało.

Jeszcze był mały i nie miał rozumu.

Raz dostał od dziadunia arkusz bardzo pięknych żołnierzy: polskie wojsko! Na dużych koniach, w pięknych mundurach polskich, w amarantowych czako i z polskimi chorągiewkami. Niezmiernie mu się podobali.

Bawił się całe rano, ale idąc z mamą na spacer, zostawił ten skarb w swoim pokoju na stole. Znalazła go mała siostrzyczka i z wielkiej uciechy pogmiotła, poplamiała i podarła. Była jeszcze malutka i nie wiedziała, że to szkoda.

Dopieroż był płacz okropny, kiedy Tadzio wrócił! W gniewie chciał uderzyć Julcię, ale mama powiedziała:

— A ile ty popsuleś mamie droższych rzeczy? Poznaj teraz, jak to przyjemnie. Małe dziecko nie ma rozumu, ale ty jesteś duży.

Zawstydził się Tadzio, spuścił oczy i nic nie mówił, lecz odtąd, gdy miał ochotę co psuć, przypominał sobie to zdarzenie.

Bukiet bzu.

Kazia wracała z ogrodu babuni i niosła pęk ogromny pachnącego bzu. Za nią biegła gromadka dzieci, a każde z nich prosiło cicho albo głośno:

— Panienczko, mnie jeden kwiatek!
Mnie tylko jeden kwiatek, panienczko! Mo-
ja złota panienczko, mnie choć malutki kwia-
tek!

A dobra Kazia co chwila odłamywała ga-
łązkę i dawała jednemu z dzieci, aż gdy sta-
nęła przed bramą, spostrzegła, że z dużego
bukietu została niewielka wiązanka.

Kazi żal się zrobiło kwiatków. — I cóż
ja mamie oddam? — pomyślała sobie.

Ale spojrzała na uszczęśliwioną gromadkę i uśmiechnęła się zaraz: O, mama gniewać się nie będzie! — zawołała, i pobiegła na górę oddać jej kilka ostatnich gałązek.

Wilk.



Mieszkał w lesie straszny wilk; miał ogromne, mocne zęby, świecące oczy i podobny był do psa dużego.

W nocy wychodził z lasu, porywał owieczki, zjadał małe zajączki, czasem i na ludzi się rzucał — wszyscy go się obawiali.

A jeden człowiek pomyślał sobie: poczeka, panie wilku!

Wykopał dół głęboki, ogromnie głęboki, wrzucił do niego prosię i przykrył dół gałęziami.

Prosię kwiczy w dole, aż w całym lesie słyhać — wilkowi zaświeciły się oczy, biegnie, szuka, słyszy głos pod gałęziami, zaczął je rozrzucać, buch — do dołu!

Oj, zły był, zły wilczysko. Zdechł tam sobie z głodu, bo się wydostać nie mógł. A poczciwemu człowiekowi, który ten dół wykopał, wszyscy serdecznie dziękowali.



Mała gosposia.



Ośmioletnia Józia została sama w domu: mama poszła do babuni, a służąca do magła. Wtem powrócił ze szkoły głodny braciszek i zaczął dopominać się o obiad.

— Zaczekaj — rzekła Józia — zupa jest gorąca, a befsztyk sama usmażyć potrafię.

I mała gosposia śmiało zabrała się do roboty. Ponieważ ogień się palił, postawiła na fajercie patelnię, roztopiła na niej masło, położyła befszyk już przygotowany i wcale nieźle udało jej się go usmażyć. Befszyk pachniał przyjemnie i wyglądał bardzo ładnie, gdy podała go bratu. Staś z apetytem odkrajał kawałek, lecz natychmiast z ust go wyrzucił.

— Fe, jakież to szkaradne!

Józia skosztowała: rzeczywiście nie można było zjeść ani kawałka.

A czy wiecie dlaczego? Bo Józia nie posoliła mięsa, a bez soli wielu potraw jeść nie można.

Orzeszki.

Stefuś i Gucio bardzo lubili orzeszki. Właśnie przed ich oknami rosły dwa wielkie krzaki, a na nich widać było całe gniazda ślicznych, dużych orzechów.

Chłopcy czekali cierpliwie, aż będą zupełnie dojrzałe.

Pewnego razu patrzą oknem, a wiewiórka siedzi sobie na dwóch łapkach, a dwiema drugimi łuska orzeszki i zajada, jak swoje.

Stefuś aż poczerwieniał z gniewu, pochwycił bacik i pobiegł do ogrodu.

Ale Gucio pośpieszył za nim i zatrzymał go na środku alei.

— Zaczekaj, zaczekaj! — wołał — i ja lubię orzeszki, ale widzisz, nam mama kupi

inne, jeśli tych nie będzie, a wiewiórka może głodna, może je zbiera na zimę. Jej nikt nie da do zjedzenia, i umrze w zimie, jeśli sobie nie przygotuje teraz potrzebnego zapasu.

Stefuś popatrzył na dobrego Gucia, potem spojrzął na krzak przed oknem, ale wiewiórka już uciekła.

Pan Bocian.



Szedł sobie po mokrej łące pan Bocian
Długonogi, oglądając się uważnie, bo
jeszcze nie jadł śniadania.

Wtem patrzy: siedzi żaba. Już otwo-

rzył dziób ogromny, kiedy przestraszona
żaba krzyknęła z całej siły:

— Aj, panie Bocianie, aj, panie Boci-
nie, nie zjadaj mnie, nie zjadaj!



— Dobra jesteś, moja żabo, a ty nie zja-
dasz sama ślimaczków, robaczków, co też
żyć mają ochotę?

— Aj, panie Bocianie, aj, aj, panie Bocianie, ja się tak okropnie boję!

— Ej, pani żabo, nie nudź, głodny jestem, nie mam czasu na rozmowę.

I znowu dziób otworzył, ogromny, długi, straszny — i pęc! prosto w twarde kamyk, na którym siedziała żaba.

A żaby już nie było, schowała się do brze.

Oj, zły był bociek długonogi.

Zaledwo jednak skłębła na rogu, spozostęgła
obdarze dziecko, które płakało, tuż się do

Buleczka.

Janinka szła do szkoły bardzo zadęsa-
na: mama jej dała buleczkę z piecze-
nią, a ona chciała z serem. Grymasiła, lecz
mama, nie zważając na to, włożyła jej śnia-
danie do koszyczka.

— Będzie ci smakowała w południe —
rzekła z uśmiechem, żegnając kapryśną có-
reczkę.

— Ani myślę jeść tego — myślała Janin-
ka, choć nie śmiała głośno powiedzieć mamie
tych wyrazów.

Uszedłszy kilka kroków, wyjęła bulecz-
kę i rzuciła ją z niechęcią na środek ulicy.
Zaledwo jednak skręciła na rogu, spostrzegła
obdarte dziecko, które płakało, tuląc się do
muru.

— Czego płaczesz? — zapytała z litością Janinka.

— Jeść mi się chce — odrzekł chłopczyzna, patrząc na koszyczek Janinki.

Dziewczynka sama teraz miała ochotę zapłakać: przecież mogła nakarmić to głodne maleństwo, gdyby nie była grymaśna, marnotrawną, gdyby nie była rzuciła bułeczki na ulicę

Czy myślicie, że drugi raz zrobiłaby tak samo?

Ignaś.

Mój Ignasiu, mój złoty, pożycz mi swojego bata — prosił Karolek — chciałbym się nim pobawić.

Ignaś dostał niedawno nowy bat na imieniny, taki ładny, że wszystkim chłopcom się podobał.

— Tylko nie popsuj go, Karolku — prosił, podając bratu zabawkę.

Trochę się bał, bo Karolek strasznie mocno lubił trzaskać.

Trzasnął też zaraz mocno, potem jeszcze mocniej, aż za trzecim razem bat się złamał.

Karolek się przestraszył, Ignaś zaczął płakać. Wtem weszła mama. Poznała zaraz, co się stało, i chciała się gniewać na Karol-

ka, lecz dobremu Ignasiowi żal się zrobiło braciszka.

Pocałował mamę w rękę i powiedział:

— Niech się matusia na niego nie gniewa, ja nie będę już płakał, mnie już niebardzo żal bata.

Mama i Karolek uściskali Ignasia i kochali go jeszcze bardziej zato, że był zawsze taki dobry.

Zuch Marynia.



Mama oddała Maryni pod opiekę młodszą siostrzyczkę, Zosię, i kazała dziewczynkom bawić się w ogrodzie.

Wtem przez otwartą furtkę wchodzi sobie indyk, zły, czerwony na szyi i głowie, z nastroszonymi piórami, i krzyczy głośno,

jakby tu był panem: glu, glu, glu! glu, glu, glu!

Marynia już się zerwała do ucieczki. Oho, nie dogoniłby jej ten brzydki złośnik,



umiała biegać prędko — ale spojrzała na Zosię. Co zrobić z Zosią? Zosia uciekać nie umie, malutka jeszcze.

Marynia nie myślała porzucić siostrzyczki, o, nie! Posadziła ją pod drzewem na ławce, a sama wzięła gałąź do ręki i czeka: Nie zaczynaj, panie indyku, bo cię spotka nieprzyjemność!

Zawsze jednak dla bezpieczeństwa zaczęła krzyczeć głośno: — Mamo, mamó! mamó!

Indyk z coraz większą złością zbliża się do ławki, ale się trochę obawia gałęzi, więc gulgocze tylko z całej siły.

Tymczasem mama usłyszała hałas, weszła do ogrodu, i naturalnie pan indyk musiał się wynieść jak niepyszny.

— Pilnuj podwórza swego, mości panie.

A Maryni powiedziała mama, że jest zuch-dziewczyna i że jej można powierzyć siostrzyczkę.

Niecierpliwy Adaś.

Adaś był bardzo niecierpliwy, o najmniej-
szą rzecz płakał albo się złościł, jak-
by złość komu na świecie pomogła.

Razu pewnego dostał od tatusia żywego
osiołka.

Adaś ucieszył się bardzo, zaprzął go za-
raz do wózka i zaczął bić. Lecz osiołek ani
myślał ruszyć z miejsca. Adaś się złości,
krzyczy, bije coraz mocniej witką biedne-
zwierzę, ale to wszystko na nic się nie zdało.

Wtedy przyszła Antosia, pożałowała
osiołka, pogłaskała go, przyniosła mu kawa-
łek chleba, a potem, kiedy cmoknęła na nie-
go, natychmiast pociągnął wózek i obwiozł
ją wkoło klombu.

Widzisz, Adasiu -- rzekła łagodnie siostrzyczka — bądź dobry dla osiołka, to on cię będzie słuchał.

I Adaś się nauczył być dobrym dla osiołka, a później i dla wszystkich. Wszyscy go też pokochali.

Śpioch.



Niektóre dzieci lubią późno wstawać, ale żadne z was pewno nie zna takiego śpiocha, jakim był Miś kudłaty, wielki, stary niedźwiedź.

Przez lato włóczył się zwykle po lesie, mruczając pod nosem; tu pogłaskał zajączka tak, że biedaczek ani zipnął, tam pokosztował

jagód, to znowu pokłócił się o miód z pszczołami. Jadł bardzo dużo i z wielkim łakomstwem, to też wkońcu tak utył, że ledwo mógł chodzić.

Cieszyły się z tego sarny i zajączki, bo łatwiej mogły uciec przed tłuściochem.

Przybliżała się zima. Ciężkie niedźwiedzisko zaczęło słać sobie wygodne poślanie. Wykopał dół obok wielkiego kamienia, nanosił mchu, trawy, liści, wkrótce się ułoży i zaśnie tak twardo, że się nie obudzi, aż na wiosnę.

Cieszą się z tego pszczołki i wszystkie zwierzęta, ale powiedzcież teraz, czy umiałoby z was które spać przez caluteńką zimę?



Zła zabawa.

Lutek miał bardzo zły zwyczaj: lubił rzucać kamieniami. Podnosił kamyk z ziemi i rzucał go w górę, albo daleko przed siebie.

Mama go przestrzegała, że może skaleczyć kogo, tatuś się gniewał — ale Lutek robił swoje.

Raz bawił się z siostrzyczką na podwórzu.

— Patrz, jak daleko rzucę kamień! — zawołał.

Podniósł niewielki kamyk i rzucił z całej siły — prosto w oko siostrzyczce.

Boże! Boże! co to było! krew zalała twarz Jadzi. Kamyk ostry zranił ją bardzo. Na krzyk dzieci przybiegła mama, posłano

po doktora, ale nic nie pomogło: biedna Jadzia straciła oko.

Lutek od tego czasu nigdy nie rzuca kamieniami i odchodzi, jeżeli inne dzieci tak się bawią; ale siostrzyczka jego nie ma jednego oka, a on co spojrzy na nią, to mu się bardzo, bardzo smutno robi.

Już wolałby sam nie mieć oka.

Mały tchórz.



Franuś bał się chodzić do ciemnego pokoju.

Ojczulek jego bardzo się tem martwił, bo widział, że ma synka tchórze, a ojczulek był tak odważny, że niczego się nie bał.

Smutno mieć takiego syna, który się boi nawet ciemnego pokoju.

Raz przyszedł do Franusia drugi chłopczyk, Romek, i bawili się razem do wieczora.

Kiedy się w pokoju ściemniło, Franuś zaczął się lękać, ale matusia wyszła, a służąca usypiała małą siostrzyczkę i nie mogła zapalić lampy.

Co tu robić? Franuś wstydził się przyznać do strachu, bo Romek śmiały się z niego.

— Chodźmy do kuchni — powiedział.

— POCO? — zapytał Romek. — Tam gorąco, mama gniewałaby się na mnie, usiądźmy lepiej na fotelu, opowiem ci bajeczkę.

Usiedli razem na jednym fotelu, Romek opowiadał prześliczną bajeczkę, a Franuś zupełnie zapomniał o strachu, tak przyjemnie było mu słuchać.

Kiedy mama wróciła, dzieci pobiegły do niej, bo weselej bawić się w jasnym pokoju przy lampie, ale Franuś się przekonał, że

i w ciemnym niema nic straszego, i odtąd nie
bał się wcale.

A jak się tatuś z tego cieszył!



Bajeczka Romka.

W dużym lesie rośło drzewo, a na tem drzewie mały ptaszek uwił sobie gniazdeczko.

Rano budził się zawsze, skoro tylko jasne słońko zaświeciło i najpierw śpiewał ślicznie poranny paciorek. Potem leciał na śniadanie: chwycił muszki, robaczki, nasycił się i przynosił pożywienie dzieciom.

Malutkie dzióbki w gniazdku otwierały się szeroko i słycać było ciągle: pi! pi! pi!

Pani ptaszkowa także znosiła dzieciom pożywienie i najadły się wreszcie. Wtedy zmęczeni rodzice usiedli na gniazdku, a że było gorąco, więc zasnęli oboje.

Obudził je pisk dzieci, które znów były głodne — do wieczora znosili im rodzice pokarm.

Wreszcie słońko się skryło; piskłeta ma-
lutkie usnęły. Ściemniło się, w gęstym lesie
było bardzo ciemno, bardzo ciemno, ale pta-
szki spokojnie siedziały w gniazdeczku, ma-
tka otuliła dzieci skrzydełkami, a ojciec śpie-
wał im do snu ślicznie, długo, dopóki sam
zmęczony nie usnął, wtuliwszy główkę pod
skrzydełko.

Hałaśniki.

Bawmy się w krzyk! — zawołał Michaś, któremu się znudziły spokojne zabawy.

I zaczął wrzeszczeć z całej siły. Inne dzieci krzyczały także, aż je gardziółka zaboląły.

— Ja wam poradzę lepiej — powiedziała Marjanna — ale chodźcie do ogrodu, bo w pokoju tak głośno bawić się nie można.

W ogrodzie wszystkie dzieci otoczyły Marjanę, a ona tak powiedziała:

— Ty, Michasiu, będziesz koniem, biegaj sobie i rzyj, jak konik.

— Rhhhi!

— A ty, Józiu, jesteś kotkiem, możesz mruścić, miauczeć: miau! miau! Ty, Karol-

ku - piesku, warcz, szczekaj, skowycz. Ty, owieczko - Kaziu: bee! bee!

— A ja będę krową! — zawołała Jadzia i ryknęła tak głośno, że się wszyscy przestraszyli.

— A ja jestem żabą: kum, kuma — kum, kuma — rade, rade, rade.

-- Gul, gul, gul! — zawołał indyk.

-- Kukuryku! — zapiął kogut.

— Kut - kudak, kut - kudak — zagdakały kury.

— Kwa, kwa, kwa! — krzyknęły kaczki.

— Ciryk, ciryk, ciryk — zaświergotał wróbelek.

Pyszna się zrobiła zabawa: hałasu było dużo, a wesołości jeszcze więcej, dopóki matka nie zawołała dzieci do pokoju.

Lato.

Bardzo było gorąco. Słońce tak paliło, że mama nie pozwoliła dzieciom wyjść z pokoju; ptaszki się poukrywały w gniazdkach, a biedne kwiatki pochyliły główki, bo pić im się chciało ogromnie i znieść nie mogły takiego upału.

— Ach, mamo, jak gorąco! — narzekala Bronia.

— Ja nie mogę wytrzymać — skarżył się Wiktorek.

— Szkaradny upał, nieznośne słońce! — zawołały dzieci razem.

— Bardzo potrzebny upał, bardzo dobre, drogie, kochane słońeczko — odpowiedziała mama. — Wiecie, co by się stało, gdyby nie paliło tak mocno?

— Nie wiemy.

— To wam powiem: nie dojrzałyby wi-
sienki, poziomki, ani żadne owoce, gruszc-
ki ani jabłka. Ani zboże na polu, i nie byłoby
bułek, ani chleba, ani ciastek, ani pierników.

— A cobyśmy jedli? — zapytała Bronia.

— Nie byłoby nic do jedzenia! — odpo-
wiedziała mama.

— O, to niech sobie lepiej pali słońce —
odezwał się Wiktorek — tylko daj nam, ma-
musi, co dobrego.

I matusia dała dzieciom malin i zsiadłego
mleka.



Nie wyglądaj oknem.



...zakrećilo mu się w główce, krzyknął strasznie i wyleciał z trzeciego piętra na ulicę.

Włodziu, zejdz z okna — upominała mama.

— Zaraz, zaraz, mamusiu, tylko ten konik przejedzie.

Mama jednak nie czekała na konika, ale zbliżyła się do okna i zsadziła chłopczyka na ziemię.

— Nie mam czasu stać przy tobie — powiedziała — a wiesz dobrze, że tatuś nie pozwala ci wyglądać oknem.

Mama wyszła do kuchni, a nadąsany Włodzio usiadł w kącie pokoju.

Wtem usłyszał krzyk na ulicy. Zaciekawiony, zapomniał, co mówiła mama, prędko wdrapał się na okno, otworzył lufcik i wysunął głowę. Nie mógł dobrze zobaczyć, więc wychylił się jeszcze bardziej, ale w tej samej chwili stała się rzecz okropna: zakreśliło mu się w główce, krzyknął strasznie i wyleciał z trzeciego piętra na ulicę.

Mama wbiegła do pokoju, ale Włodzia tu już nie było. Leżał na ulicy z roztrzaska-

ną na kawałki głową, z twarzą tak pogniecioną, jak zdeptana pomarańcza. Wybite ząbki rozsypały się po kamieniach, krew płynęła z ran okropnych, i wcale poznać go nie było można.

Mama, zobaczywszy tak strasznie zabitego synka, zemdląła, potem zachorowała z żalu — tatuś płakał, jak małe dziecko, a biednego Włodzia zakopali w ziemi na cmentarzu i nie było go już na świecie.

Waleczna kózka.

Byla jedna kózka biała — bardzo śmiała. Mówiła sobie, że się nie boi niczego. Na Brysia się rzucała! Dzieci zaczepiała — oj, było to nic dobrego.

Rogi miała mocne, ostre, zakrzywione, i zdawało jej się, że krowę przekłółaby niemi. Nie lękała się też i krowy.

Raz wybiegła na łąkę; patrzy: całe stado gęsi. Oho, będzie uciecha!

Pogoniła za niemi. Gęsi krzyczą, uciekają, skrzydłami biją.

A wtem gąsior, co je prowadził, zawoła:

— Cóż to znowu: ona jedna, a nas tyle, wstyd uciekać — dalej na nią! gheę! gheę, gheę, gheę!

Na głos swojego wodza zawróciły gąski i wszystkie z otwartymi dziobami na kózkę. Co za krzyk, co za hałas!

Kózka aż się zdziwiła, a gęś jedna cap ją za nogę i szczypie, druga za brodę chwyta, inna w bok uderza. Ani myśleć o obronie. Czerwone dzioby krzyczą, szczypią, biją. Co tu robić? Gwałtu!

— Meee! — zabeczała waleczną kózką i w nogi.

A gęsi za nią.

Oj, rada była, kiedy przed nimi uciekła.

A widzisz, kózko, nie przechwalaj się zbyt.

Złośnik.

Straszny był złośnik z Czesia — kiedy się rozgniewał, to już sam nie wiedział, co robi: krzyczał, tupał nogami, rzucał na ziemię, co miał w ręku. Taki był wtedy brzydki, że nikt nie chciał patrzeć na niego.

A potem wstyd mu było.

Raz deszcz padał, więc chłopczyk bawił się na werandzie i ustawiał dom z klocków. Wtem wbiega jego ulubiony piesek pokojowy, Miluś, i odrazu bez ceremonji przewraca łbem cały budynek.

Na ten widok Cześ w wielkim gniewie pchnął Milusia z całej siły, aż biedny piesek po żelaznych schodkach stoczył się na kamienie.

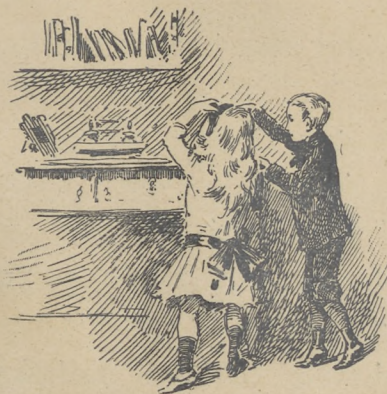
Milus zaskowyczał z bólu, Cześ opamiętał się zaraz, pobiegł do niego, chciał go wziąć na ręce, lecz pies skomlał tak żałośnie, że nie można było słuchać.

Chłopczyk zaczął płakać głośno, przyszła na pomoc mama, przeniesiono Milusia do pokoju, ułożono na poduszce; pies jednak piszczał ciągle, lizał Czesiowi ręce, ale piszczał żałośnie, jakby mu chciał powiedzieć:

— Ja się nie gniewam, ale dlaczego mi zrobiłeś taką krzywdę?

Biedny Milus okulał — miał zwichniętą nóżkę i już na całe życie pozostał kulawym. Ale Cześ od tego czasu stał się zupełnie inny, bo ile razy w złość wpadał, przypominał sobie Milusia.

Zygmus i Anielcia.



Z ygmus i Anielcia bawili się sami w pokoju i zobaczyli u mamy na biurku torebkę z cukierkami.

— Mama się gniewać nie będzie — powiedziała Anielcia i wzięła dwa cukierki.

Zygmus także wziął dwa i bardzo mu smakowały.

Wkrótce mama weszła, spojrzała na biurko i zapytała:

— Kto ruszał tę torebkę? Czy braliście cukierki?

— Ja nie — powiedział Zygmus, ale zaczerwienił się bardzo, bo czuł, że to wstyd kłamać.

Anielcia ze zdziwieniem spojrzała na braciszka.

— Ja dwa zjadłam, mamusiu — odezwała się nieśmiało.

— Nigdy, Anielciu, nie bierz sama żadnych łakoci, zawsze trzeba zapytać starszych o pozwolenie — rzekła mama.

Pocałowała Anielcię i pogłaskała ją po główce, bo wcale się nie gniewała na dziewczynkę i przyjemnie jej było, że Anielcia powiedziała prawdę.

A na Zygmuta mama nie spojrzała nawet, przykro jej było i smutno, że ma takiego syna; a Zygmus tak się wstydził, że poszedł do kącika i długo, długo płakał.

Ale odtąd nigdy nie kłamał.

Walerek.

Walerek obrażał się o rzecz najmniejszą i zaraz skarżył się mamie.

— Mamo, ona usiadła na mojem krzeselku! Mamo, ona nie chce bawić się ze mną w konie! Mamo, Kazia mi powiedziała: cicho! Mamo, on się na mnie patrzy. Mamo, oni śmieją się ze mnie.

Dzieci go też nie lubiły, nie chciały się z nim bawić, nazywały go panem Nietykal-skim i nieraz się z niego śmiały.

Więc nudno było Walerkowi i chętnieby się już poprawił, ale wszyscy od niego uciekali, bo nikt nie miał ochoty, żeby na niego skarżył.

Nareszcie pewnego razu podczas zimy, w ogrodzie, psotny Lutek zbliżył się do

Walerka i, niby rozmawiając, wsunął mu do kieszeni kilka kawałków lodu.

— Co masz w tej kieszeni? — spytał potem.

Walerek sięgnął i przestraszył się mokrego i zimnego lodu. Już chciał płakać i pobic na skargę do mamy, kiedy przypomniał sobie o poprawie. Więc roześmiał się, lód wyrzucił i powiedział:

— Ach, ty psotniku!

Lutek się zdziwił i wszystkie dzieci się zdziwiły, a potem uściskały Walerka i zaprosiły z sobą do zabawy.

Pierniczki.



Różia z Irenką spotkały się w Saskim ogrodzie. Biegały razem, bawiły się długo, rzucały piłką, skakały przez sznurek, wreszcie zmęczone usiadły na ławce, gdzie siedziały ich matki.

— Jeść mi się chce — powiedziała Różia.

Mama podała dziewczynkom miętowe pierniczki, które zaczęły zajadać wesoło, chrupiąc i rozmawiając.

Obok ławki stał blady chłopczyk w ubo-
giem ubraniu i patrzył na nie nieśmiało.

Irenka odłamała kilka miętowych pier-
niczków i podała je chłopcu, prosząc, żeby
przyjął.

Chłopczyk się zarumienił, wziął piernicz-
ki, rozłamał je na dwie części, jedną schował
do kieszeni, a drugą jeść zaczął.

— A tamte dla kogo? — ciekawie spy-
tała Irenka.

— Dla siostrzyczki — odparł chłop-
czyk. — Ona tak lubi ciastka.

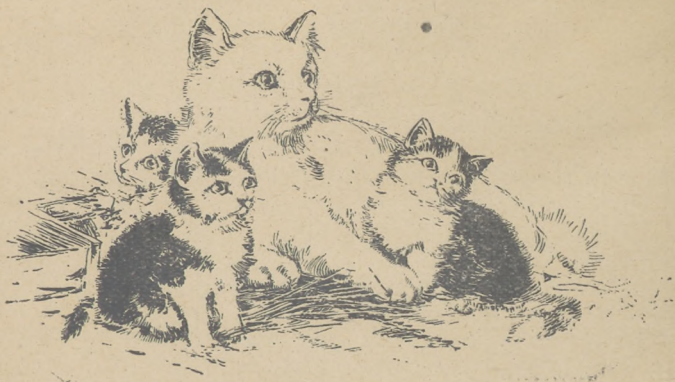
— A ty ją kochasz?

— Kocham. Jeszcze jest mała, nie zaj-
dzie sama do ogrodu i musi siedzieć w domu.

— To masz dla niej — rzekła Różia i po-
dała mu jeszcze kawałek piernika.

Chłopczyk podziękował, oczy mu się zaświeciły z wielkiej radości i pobiegł natychmiast do domu podzielić się z siostrzyczką przysmaczkami.

Zmyślna kotka.



Tosia miała śliczną, białą koteczkę, która była bardzo mądra. Nazywała się Biela.

Raz Biela miała troje dzieci. Troskliwa z niej była mateczka: myła je, uczyła chodzić, karmiła, przemawiała do nich. Kiedy podrosły i mleczko im nie wystarczało, polowała dla nich na myszy i ptaki. A dzieci jadły dużo i ciągle jeść wołały. Namęczyła się też codziennie biedna matka.

Raz wraca późno z polowania z tłustą myszką, rada bardzo, że jej się udało uciec przed psami, a tu drzwi domu zamknięte... Miauczy, nic nie pomaga. Słyszy tylko, jak kociaki piszczą bez niej w sieni.

Biedna matka pode drzwiami krzyczy z całej siły, ale kiedy nikt nie otwiera, zostawia mysz na progu, idzie pod okno Tosi i zaczyna miauczeć tak żałośnie, że dziewczynka ją usłyszała i wpuściła lufcikiem swoją faworytkę.

Dopieroż było powitanie z dziećmi!



Psotny Mieczysław.



W ogródku Zosi rosły śliczne kwiatki: różowe, niebieskie, białe i czerwone. Kiedy obudziły się zrana i spojrzały na słońeczko, uśmiechnęły się wszystkie, tak im było wesoło. Nad nimi śliczne niebo niebieskie, bez chmurki, na nich kropelki ro-

sy — drzewa szumią, ptaszek śpiewa, słońko świeci.

— Jak dobrze na tym świecie — powiedział czerwony gwoździk. — Jak ślicznie.

— Wczoraj mi było zimno — odrzekła biała stokrotka — ale dziś dobrze, wesoło, ciepłutko.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy wpadł do ogrodu Mieczys, który się bawił w żrebacka. Uciekł niby ze stajni, i zamiast biegać po ścieżkach, wpadł na klomby, rzał, deptał kwiatki, gniótł, niszczył wszystko.

Za chwilę bratki, gwoździki, stokrotki, białe narcyzy, wszystkie, wszystkie kwiatki połamane, podeptane, leżały nieżywe, a Mieczys biegł coraz dalej, psując wszystko po drodze.

Surowa mateczka.

Lola miała trzy lalki: Józię, Fruzię i Zuzię, i była dla nich bardzo surową mateczką: musiały jej też słuchać, oj, musiały, bo karała nie na żarty.

Jeżeli która grymasiła przy jedzeniu, musiała wstać od stołu i nic nie dostawała, choćby była bardzo głodna. Za kłótnie, sprzeczki, niezgodę — stawiała je w kącie i to nie na godzinę, ale do samego wieczora. Sroga była mamusia.

Razu jednego Fruzia rozdarła sukienkę o gwoździak. Lola zaczerwieniła się z gniewu.

— Dostaniesz różgą — rzekła i wstała zaraz od stolika, ale tak prędko, że zaczęła fartuszkciem o poręcz od kanapki i oberwała cały haft u dołu.

Przestraszona okropnie, spojrzała na mamę, a mama patrzyła na nią.

— Cóż teraz będzie? — rzekła mama wreszcie. — Czy Fruzia dostanie różgą?

Zawstydzila się bardzo Lola.

— Nie — rzekła cichuteczko — już teraz, matusiu, będę lepsza dla swoich lalek.

— Czy i grzeczniejsza także? — zapytała mama.

A Lola obiecała, że i grzeczna będzie, żeby nie zasługiwać na karę.

Zarozumiały Boles.



Bolesiowi się zdawało, że wszystko najlepiej umie, dlatego też chciał zawsze wszystkim rozkazywać, wszystkich uczyć i gniewał się, jeżeli braciszek lub siostrzyczka nie słuchali go od razu. Eh, nieraz to nawet myślał sobie, że i od mamusi jest mądrzejszy.

Raz powiedział do Stasia, Kazi i Adelci:

— Nauczę was grać w komórki.

I zaczął ich ustawiać i tłumaczyć im zabawę, ale nic go nie rozumieli, więc z gniewu zaczął płakać.

— Czego płaczesz, Bolesiu? — zapytała mama.

— Bo z takimi głupimi dziećmi to nawet bawić się nie można.

— Doprawdy? I zdaje ci się, że jesteś mądrzejszy od nich?

— One nic nie rozumieją.

— Zobaczymy — rzekła mama. Ustawiła dzieci w kącikach, wytłumaczyła, jak się bawić trzeba, pokazała, i odrazu poszło doskonale. Bolesć cieszył się bardzo.

— A widzisz — powiedziała mama — teraz rozumieją; jak ci się zdaje: dlaczego?

Chłopczyk nic nie odpowiedział, ale pewno w tej chwili nie myślał, że jest najmądrzejszy.

Filus.



Psy są bardzo rozumne, ale Filus należał chyba do najmądrzejszych; a przytem kochał Stasia, jak prawdziwy przyjaciel.

Bo też Staś wart był tego: nigdy nie zapominał o Filusiu przy śniadaniu, po obiedzie sam pilnował, żeby piesek nie był głodny,

rozmawiał z nim, brał go z sobą na przechadzkę.

A Filuś bardzo lubił spacerować ze Stasiem; gdy zobaczył, że chłopczyk sięga po



kapelusz, to aż piszczał z radości i takie wyprawiał skoki, że się wszyscy z niego śmieli.

Raz idąc z mamą i rodzeństwem na grzyby, Staś zabrał z sobą bacik, który dostał niedawno od cici.

Dużo grzybów nazbierał, ale bacik zgubił.

Spostrzegł to dopiero w domu i żal mu bardzo było. Filuś widział zmartwienie Stasia i patrzył mu w oczy, żeby poznać, czego płacze.

— Mój bacik! mój bacik! — wołał Staś, oglądając wszystkie stare baty.

Wtem Filuś zaszczekał głośno, zaskowyczał i prędyutko pobiegł do lasu.

Długo nie wracał, ale przed samym wieczorem zjawił się, niosąc w pysku odszukany bacik.

Co myślisz o tym piesku?

Płaksa.



Alinka o najmniejszą rzecz płakała. Czy jej mama naląła za dużo rosołu, czy splamiła sukienkę, czy dostała inne ciastko, niż sobie życzyła, czy lalka niedość była grzeczna, zaraz płacz, łzy, jak gdyby stało się wielkie nieszczęście.

Raz przyszła siostra niani z małą dziewczynką, i Alinka chciała się z nią pobawić. Usiadły razem przy stoliku, Alinka porozkładała zabawki, patrzy, a Frania płacze.

— Czego płaczesz?

— Chcę do mamy.

Przyszła jej mama i usiadła przy niej. Alinka dała Frani jedną lalkę, a sama wzięła drugą. Po chwili Frania znów płakać zaczęła.

— Czego płaczesz?

— Bo ta lalka ma brzydką sukienkę.

Zaczęły się bawić gospodarstwem, Frania rozlała trochę wody z imbryczka i znów w płacz. Potem już nawet sama nie wiedziała, czego płacze.

Alince nie żal było, kiedy sobie poszła, i zaraz powiedziała do niani:

— Już teraz nigdy nie będę płakała, bo nie chcę być taką brzydką i niegrzeczną, jak Frania.

Sierota.

Antoś nie miał ojca ani matki, był sierotą. Nie miał swojego domku, ani swego łóżeczka, ani zabawki żadnej, ani nawet kawałka chleba. Szedł drogą, bardzo zmęczony i głodny i nie wiedział, gdzie zajdzie. Nóżki go bolały, więc usiadł sobie nad rowem.

Wtem zaczęło się ściemniać: noc się zbliżała. Biedny Antoś bał się bardzo: sam jeden w nocy na dworze! Spojrzał na ciemne niebo, tam gwiazdka na niego mrugnęła, jakby chciała powiedzieć:

— Nie bój się, ja na ciebie patrzę.

I Antoś przestał się bać, bo przypomniał sobie, co mówiła mu mama, że tam w niebie mieszka Bóg, który kocha dzieci i jest dobrym ojcem dla sierot.

Popatrzył na gwiazdeczkę, uśmiechnął się do niej, położył się na miękkiej trawie i zasnął spokojnie.

Kiedy się obudził, już słońce świeciło. Jakaś kobieta szła z mlekiem do miasta, zobaczyła go i spytała:

— A ty co tutaj robisz? Gdzie twoja matka?

— Nie mam mamy ani ojca — odpowiedział Antoś. A kobieta pogłaskała go po głowie, dała mu mleka i chleba i wzięła go do swej chaty.

Nieszczęście.

Moja złota mamusiu, pozwól mi iść do ogrodu — prosiła Renia, śliczna i dobra dziewczynka, o rumianej, jak jabłuszko buzi, niebieskich oczach i jasnych włoskach.

— Katarzyna nie ma czasu iść z tobą — odpowiedziała mama — zaczekaj, aż skończy robotę.

— Moja mamó, moja złota, pozwól mi iść na chwileczkę, tylko nazrywam kwiatków na bukietek. Moja matuleńko!

Całowała rączki mamy, która kołysała małego braciszka. Mamie żal było Reni.

— Pozwoliłabym ci — rzekła — ale się boję, że pójdziesz nad wodę.

Bo w tym ogrodzie była duża sadzawka.

— O, nie, matuchno, nie pójdę, zobaczysz, będę się bawiła przed oknami.

Matusia pozwoliła. Renia wybiegła ucieszona, zrywała kwiatki, biegała po ścieżkach, wreszcie stanęła nad sadzawką. Chciała zaraz odejść, ale zobaczyła na brzegu śliczne niebieskie kwiateczki. Schyliła się, żeby zerwać kilka, a wtem pośliznęła jej się nóżka i wpadła w wodę.

Krzyknęła strasznie, lecz nikt nie usłyszał. Biedna dziewczynka utonęła.

Ach, jak mamusia płakała, płakała, kiedy zakopano jej córeczkę w ziemi!

Zajaczek.



Było ślicznie, ciepło, słońeczko świeciło. Pani Zającowa wyszła z norki z trzema zajączkami i chciała je zaprowadzić do ogrodu, gdzie zobaczyła wczoraj młodziutką sałatkę.

Dzieci biegły za matką, ciesząc się i podskakując.

— Trzymajcie się blisko mnie — mówiła pani Zajęcowa — bo jeszcze który zabłądzi i zginie.

Dwa zajęczi były posłuszne, ale trzeci myślał sobie:

— Co mam zginąć? Sam trafiłbym do ogrodu i do naszego domku.

I tak biegał, tak figlował, że stracił z oczu i matkę i braci. Chciał ich dogonić, szukał, ale nigdzie znaleźć nie mógł. Pewno pobiegł w przeciwną stronę.

Więc chciał wrócić do domu, lecz i domu znaleźć nie mógł. Zmęczył się bardzo bieganiem, głodny był, przestraszony, a tu ani matki, ani domu, ani żadnego jedzenia.

Zaczął ogryzać młode gałązki wkoło jakiegoś drzewka i trochę się posilił, ale słoneczko zaszło, ciemno się zrobiło, a on sam jeden w lesie.

Ha! cóż robić! Drząc z zimna, przytulił się do kamienia i zasnął. Tchórz z niego był

jednak wielki, więc budził się ciągle, bał się bardzo i skoro tylko dzień się zrobił, zaczął znów szukać matki.

Właśnie coś poruszyło się w krzakach — ucieszony zajączek podniósł uszy do góry, odwrócił się w tę stronę i już chciał skoczyć naprzód, gdy wtem — paf! paf!

I zajączek padł nieżywy.

Konwalja.

Czy znacie śliczny biały kwiatek, co się nazywa konwalja?

Ma duże zielone liście, a kwiatki jak dzwoneczki, jeden koło drugiego — i pachnie bardzo ładnie.

W dużym, cienistym lesie wyrosła taka bielutka konwalja. Zimno jej było na wilgotnej ziemi, w cieniu starego drzewa, ale sobie pomyślała:

— Znajdzie mię tutaj jakie dobre dziecko, zerwie, wyniesie na jasne słońeczko, a potem włoży w czystą, świeżą wodę.

Podziękuję mu za to śliczną wonią moich kwiatków. A może też mnie zerwie dla matusi na podarunek?

Wtem przybiegła dziewczynka, zobaczyła śliczną konwalję, ucieszyła się bardzo i zerwała ją zaraz. Powąchała z przyjemnością raz i drugi, oberwała jeden dzwoneczek, rzuciła na ziemię, potem zgmiotła drugi, trzeci ugryzła ząbkami, i za chwilę wszystkie kwiatki były poobrywane, popsute i, leżąc na mokrej ziemi, skarżyły się cichutko i smutnie, że niedobra dziewczynka zerwała je po to tylko, aby zniszczyć.

Szkoda ślicznych dzwoneczków, szkoda ładnego kwiatka.

Chora siostrzyczka.

Wańdzia dostała kaszlu i nie mogła wychodzić z domu. Tak jej było smutno!...

Braciszek Wańdzi, Stefcio, codzień wychodził z mamą; raz pojechał nawet sankami, a potem wrócił zarumieniony, zimny, ale taki wesoły, aż miło.

Był on dobrym braciszkiem, nigdy się nie gniewał, choć mu siostrzyczka co zepsuła, pozwalał jej się bawić swemi zabawkami; to też Wańdzia kochała go serdecznie.

— Ubierz się, Stefciu, pójdziemy do cioci — powiedziała raz mama.

Stefanek się ucieszył, bo u cioci były dzieci, huśtawka w pokoju, książki z obraz-

kami. Prędziutko włożył futerko, czapeczkę i był gotów.

Wtem patrzy — Wańdzia płacze. Płacze, że on wychodzi, a ona musi siedzieć w domu sama. Zasłoniła buzię rączkami i szlocha.

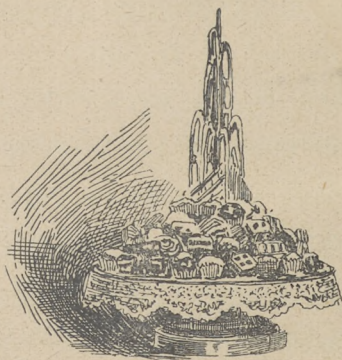
Stefciowi żal się zrobiło siostrzyczki, bo ją bardzo, bardzo kochał. — Eh — pomyślał sobie — nie pójdę do cioci, kiedy Wańdzia ma o to płakać. — Trochę mu żal było tej wizyty, ale jeszcze więcej żal mu było Wańdzi.

— Moja matusiu, i ja też nie pójdę do cioci! — prosił grzecznie.

Mama się ucieszyła, że Stefcio tak siostrzyczkę kocha, ucałowała go i pozwoliła mu zostać w domu.

Bardzo wesoło bawili się we dwoje.

Imieniny mamy.



Na imieniny mamy przynieśli tort wspaniały i całą tacę ciastek. Wicuni aż się oczki zaświeciły na ten widok: ogromnie lubiła ciastka.

— Matuleńko, mnie tylko jedno!

I mateczka dała. — Potem przyszli goście, Wicunia znów jadła. Skosztowała i tortu. Kiedy mama wyszła z pokoju, poprosiła

o ciastko tatusia. Na ciocię tak się patrzała, że znów dostała jedno. I ktoś z gości jej podał. Kiedy się wszyscy żegnali, przysunęła się do stołu i wybrała najśłodsze.

Nareszcie podano obiad, ale Wicunia już nic jeść nie mogła. Tak jej było dziwnie, smutno, nieprzyjemnie, nic jej nie smakowało, nawet ciastka wydawały jej się szkaradne. Główka ją zaczęła boleć, musiała się położyć do łóżeczka.

Oj, gorsze potem nastąpiły rzeczy, bardzo przykra choroba, a taka nieładna, że opisać nie można.

Mama miała gości, więc nie mogła siedzieć przy Wicuni, i tylko Paulina opiekowała się dziewczynką.

Przez kilka dni Wicunia była chora, nic prócz kleiku i herbatki jeść nie mogła, a ciastka jeszcze czas długi wcale jej nie smakowały.

L e w.



W mocnej żelaznej klatce zamknięto lwa, schwytanego daleko, na pustyni.

Wspaniałe zwierzę drży z zimna i gniewu, potrząsa grzywą, ryczy.

Tam na pustyni niema zimy ani chłodu, tam zawsze gorące słońce pali ognistemi promieniami z czystego, błękitnego nieba.

Tam tyle miejsca! Można biec w podskokach daleko, na wszystkie strony, nic nie powstrzyma biegu.

A tutaj!...



Ciasno w żelaznej klatce. Dlaczego ci ludzie tak mu się przypatrują? Czy śmieją się z jego niedoli?

Ryknął lew groźnie i w dzikich podskokach zaczął obiegać klatkę wkoło, wkoło, wkoło.

Wszędzie żelazne kraty, mocne kraty.
Nigdy już stąd nie wyjdzie, nigdy nie pod-
skoczy swobodnie, nie pobiegnie daleko, nie
zobaczy swojego słońca...

A ludzie ciekawi patrzą na lwa zdaleka.

Niegrzeczna lalka.

Marynia miała śliczną lalkę, Tecię. Do-
stała ją na urodziny od babuni i cie-
szyła się bardzo, bo Tecia była duża, miała
prawdziwe włosy i ząbki w otwartej buzi.

— Moja ty prześliczna, moja ty ukocha-
na — mówiła Marynia, ściskając lalkę z całej
siły. — Ja będę twoją mamunią, zobaczysz,
jak będę się tobą opiekowała, moja ty śliczna
Teciu.

I na drugi dzień od samego rana chciała
być dobrą mateczką, więc budzi swą córkę.

— Wstań, Teciu, czas się ubrać do śnia-
dania.

A Tecia ani się ruszy.

Biedna mama przemawia, prosi, przypo-
mina, że już późno, — nic nie pomaga. Więc

choć miała inne zajęcie, musi sama ubierać śpiocha. Ale Teczka grymasi, chowa nóżki pod siebie, kładzie się, przy myciu płacze, nie chce się pozwolić czesać: „włosy ją bolą od czesania!“.

Nameńczyła się Marynia przy tem ubieraniu córki; już śniadanie było nalane, kiedy usiadła do stołu.

A Teczka znów się krzywi: nie chce herbatki z mleczkiem: za słodka, niedobra, za gorąca, za zimna. Cóż tu robić z takim dzieckiem? Marynia aż westchnęła i spojrzała na mamusię, a potem pobiegła do niej, ucałowała jej rączki i powiedziała:

— Złota, kochana matusiu, już ja zawsze grzeczna będę.

Z a b a w k i.

Marylka miała bardzo dobrą mamę, ojczulka, dużo zabawek, książek z obrazkami, a nudziła się bardzo często. Już wszystkie książeczki znała, nabawiła się zabawkami, a jeżeli dostała nową, to jej się też prędko sprzykrzyła.

Raz Kasia, córeczka stróża, przyniosła jakiś list do mamy, a zobaczywszy lalki i wózki Marylki, aż klasnęła w ręce z podziwienia.

— Ach, jakie to prześliczne cacka! — zawołała.

— Ty nie masz takich? — pytała Marylka.

— Ja mam tylko jedną lalkę ze stłuczoną głową — odpowiedziała Kasia.

— Ach, mój Boże — rzekła z dobrocią Marylka — to dopiero musisz się nudzić!

— Nudzić? — powtórzyła Kasia. — Nawet nie wiem, co to znaczy. To musi być bardzo smutno.

— A cóż ty przez cały dzień robisz?

— Oho! Tyle mam roboty! Pomagam matce, sprzątam, kołyszę dziecko, śpiewam mu, czasem co zeszyję albo przyniosę z targu. Aha, muszę się spieszyć, bo tam mama czeka, trzeba ziemniaki obierać.

I wybiegła prędiutko; a Marylka usiadła przy mamie, pomyślała, pomyślała i spytała:

— Jak to może być, moja mamusiu, że się Kasia nigdy nie nudzi, chociaż nie ma zabawek, tylko stłuczoną lalkę?

— Kto pracuje, ten się nigdy nie nudzi — odpowiedziała mama.

— To i ja bym chciała pracować, ale cóż będę robiła?

— Pomagaj mamie i niani w tem, co one robią, nauczysz się szyć, sprzątać i wielu innych rzeczy, a nudzić się nie będziesz wcale.

Marylka posłuchała mamy, pomagała jej w każdej pracy, a bawiła się tylko wtedy, kiedy nic nie było do roboty.

I zapomniała o nudach zupełnie.

Bardzo mądra Zuzia.

Zuzia nie umiała jeszcze ubrać się sama, ale zdawało jej się, że jest bardzo mądra, najmądrzejsza na świecie. Myślała, że wszystko umie, wszystko wie. Wyśmiewała się ze wszystkich dzieci, nie słuchała często mamy, bo jej się zdawało, że niejedną rzecz lepiej zrobi.

— I cóż ty umiesz, moja Zuziu? — zapytała raz mama.

— Wszystko umiem, proszę mamy: umiem tańczyć, umiem śpiewać, umiem biegać bardzo prędko, samabym trafiła do cioci, do babci; ja się niczego nie boję.

— Tylko żaby — rzekła mama. — A prawda, i mrówek. Pamiętasz, jak płaka-

łaś, kiedy cię raz oblażyły? A wiesz ty, Zuziu, że te mrówki więcej umieją od ciebie.

— Oho! — zawołała Zuzia.

— Zaraz cię przekonam. Widziałaś mrowisko w lesie? To one je zrobiły. Pamiętasz, jakie tam były okienka, drzwi, pokoiki? Czy umiałabyś zrobić takie same?

— Nie jestem mrówką — odpowiedziała zmieszana trochę Zuzia.

— Ale przecież wszystko umiesz. To możebyś umiała zrobić miód i воск, jak pszczołki?

— Mama żartuje — szepnęła Zuzia.

— Wcale nie, przecież jesteś najmądrzejsza, a kiedy małe pszczołki to umieją... A może zrobiłabyś takie gniazdko, jak wróbelek? Pamiętasz, coś je oglądała?

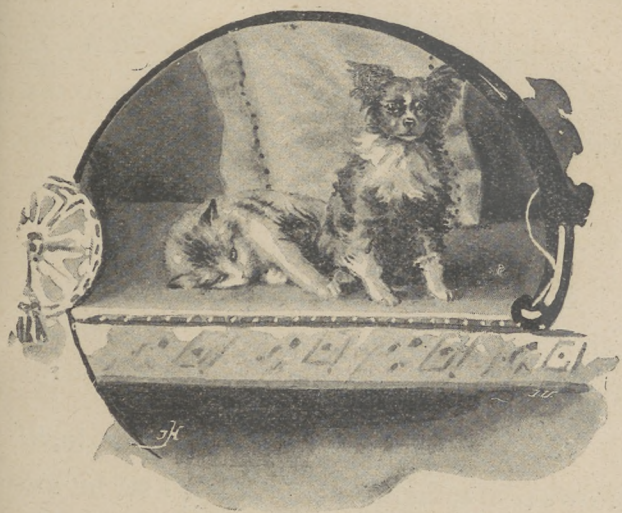
Zuzia patrzyła na mamę i nie wiedziała już, co odpowiedzieć.

— A może umiesz robić płótno, albo szyć buciki, albo pleść kapelusze ze słomy, jak te wiejskie chłopaki na wsi?

— Dlaczego mamusia tak mówi? —
spytała wreszcie Zuzia.

— Dlatego, żebyś się zastanowiła, moja
Zuziu, że ty jeszcze nic nie umiesz, nawet te-
go, co małe robaczki umieją, albo chłopaki
wiejskie, więc nie powinnaś myśleć, że jesteś
najmądrzejsza.

Azor i Misia.



Kotka Misia tak była czysta i porządna, że choć się położyła na kanapce w dziecięcym pokoju, nikt się na nią nie gniewał, bo nic nie powalała.

Ale jej przyjaciel, Azor, nie był do niej podobny; biegał, gdzie największe błoto,

a potem z czarnymi łapami szedł prosto i śmiało do Felci i Józia.

Pięknie też potem wyglądały ich fartuszki!

Mama i niania gniewały się na Azora za taki nieporządek i nieraz mu się co za to dostało; bo wielka rzecz umyć łapy, zanim wejdzie do pokoju. Ale taki był już roztrzepaniec.

Z Misią żyli w wielkiej przyjaźni. Raz poszli sobie na spacer wieczorem i powrócili dopiero zrana. Zabłoceni, zawalani!

Misia usiadła pod progiem i myje łapki, główkę, brzuszek, a Azor położył się na mokrej ziemi i śpi na jedno oko.

Wtem służąca drzwi otworzyła. Misia, nie myśląc wiele, idzie prosto do pokoju, Azor za nią. Dzieci spały jeszcze, ale Misia ułożyła się wygodnie na miękkiej sofie, powleczonej czystym pokrowcem.

— Jaka ta Misia mądra — myśli sobie

Azor — zawsze znajdzie dobre i wygodne miejsce.

I wskoczył też na sofę.

Wkrótce przyszła niania. Aż krzyknęła, zobaczywszy takiego brudasa na czystym pokrowcu. Przyłożyła mu też klapsa, aż zapiszczał. A Misi nic nie było, jeszcze Felcia wzięła ją na chwileczkę do łóżka.

Czyste stworzenia każdy lubi, naucz się, panie Azorze, porządku.



Podarunek Stasia.

Staś nie miał ojca, a mama jego była bardzo, bardzo biedna. Codzień prała od samego rana do wieczora, albo prasowała bieliznę, i ludzie jej za to płacili, ale niedużo, więc mieszkała ze Stasiem w brzydkim, małym pokoiku, a na obiad mieli codzień tylko zupę i kartofle.

Ale Staś nie grymasił i nie narzekał nigdy, bo i po takim obiedzie nie był głodny, a mamusię swoją tak kochał, że nie chciałby jej zmartwić nigdy, nigdy, nigdy!

Coby tu dać na gwiazdkę tej dobrej, kochanej mateczce? myślał sobie. Mama pew-

no mi kupi nowe trzewiki, a może czapkę, a ja co? Cóż można kupić bez pieniędzy?

Biedny Staś nie miał ani jednego grosika. Gdyby tylko miał pieniądze, kupiłby zaraz choinkę, choć małą, ale prześliczną, zieloną. Mama tak lubi zielone roślinki, a u nich niema żadnej, ostatni kwiatek usechł w doniczce, która teraz stoi pod ławką.

Wtem coś się chłopczykowi przypomniało: wyciągnął szufladkę od stolika i znalazł w niej kilka ziarenek grochu. Wyjął je i schował do kieszeni. Wziął doniczkę z pod ławki, poruszył w niej ziemię, polał ją czystą wodą i zasadził ziarenka grochu.

Odtąd Staś codzień polewał ziemię w doniczce, codzień się przypatrywał, czy już nie widać listeczków. Bo jeśli nic do samej gwiazdki nie wyrośnie, cóż on da swojej mamie w podarunku?

Nakoniec wszystkie ziarenka wypuściły kielki i doniczka wyglądała jak mały ogród-

dek. Staś był uszczęśliwiony, a mamusi bardzo podobał się ten podarunek i serdecznie ucałowała chłopczyka.

Zapałki.

Mieczysław ogromnie lubił bawić się zapałkami.

Mateczka pozwalała mu czasem zapalać świecę, kiedy był przy niej, ale samemu zabroniła nawet dotykać pudełka z zapałkami.

A Mieczysław myśli sobie: Ja tak samo i bez mamy umiem.

Raz sięgnął po pudełko, stojące na stole.

— Mieczysław, nie rusz zapałek, zawołała mama.

Mieczysław cofnął rączkę i zaczerwienił się ze wstydu. Poszedł do drugiego pokoju i tutaj spostrzegł zaraz na biurku tatusia całe pudełko czerwonych zapałek.

Zapalił jedną; nic mu się nie stało; zapalił drugą, wypaliła mu się w rączce i rzucił ją

na ziemię; zapalił trzecią — a wtem iskra padła na pudełko, zapaliły się wszystkie, buchnął dym, i płomień ogarnął chłopczyka.

Mieczys upuścił pudełko i krzyknął z bólu i strachu. Przybiegła mama: Boże! sukienka się pali, włosy!

Zarzuciła na niego chustkę i zgasiała ogień, ale Mieczys jęczał ciągle, gdyż bardzo był poparzony. Spaliły mu się wszystkie włosy, a oczy tak go bolały, że otworzyć ich nie mógł. Na rączkach miał straszne rany aż do kości, na brzuszku też. Okropnie go bolały.

Długo, długo chorował i leżał w łóżeczku, nim się zgoiły wszystkie rany, ale odtąd, choć go mama nie przestrzega, nigdy nie dotyka zapalek.

Pszczoła i muszka.

Pracowita pszczółka od samego rana zbierała słodki miód z kwiatków. Nareszcie zobaczyła drzewko wiśniowe, całe okryte białym kwiatem.

— Tu dopiero pyszny miodek będę miała — pomyślała sobie pszczółka i zaczęła wędrować od kwiatka do kwiatka. Aż w jednym spotyka muchę.

— A ty co tu robisz, próżniaku? — zawoła pszczółka rozgniewana. — Będziesz mi miód zjadała, który dla ludzi zbieram!

— Każdy jeść potrzebuje — odpowiedziała muszka — i ty nietylko dla ludzi miód zbierasz, ale także dla siebie i swoich siostrzyczek.

— Naturalnie — rzekła obrażona pszczoła — my pracujemy, to nam się należy zapłata, ale ty nic nie robisz.

— Bardzo panią przepraszam — oburzyła się teraz muszka — i ja także pracuję i dla tego drzewka i dla ludzi.

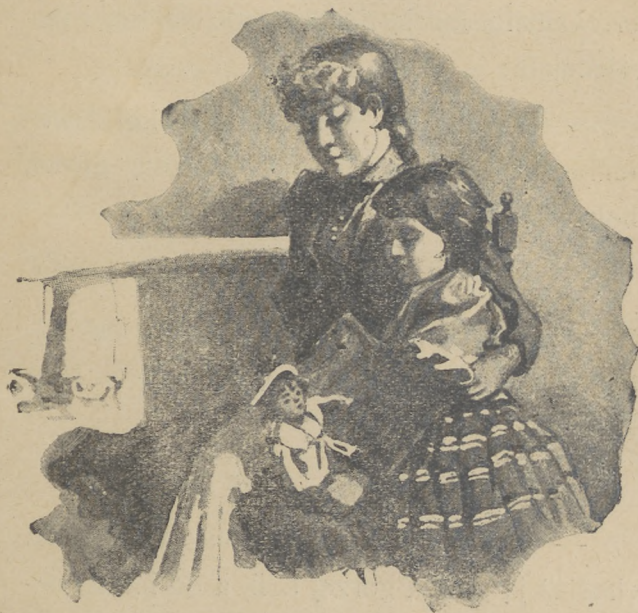
— Ciekawam bardzo, co robisz?

— Nie byle co, moja pani, zobacz, co żółtego proszku porozsypywałam w tych kwiatkach. Z tego będą wisienki. Patrz, jak mię wita każdy kwiatek, jak się przede mną otwiera. Nie trzeba być zarozumiałą, moja pszczołko, myślałaś, że sama tylko jesteś pożyteczna na świecie?

— A bo — jękała się pszczołka — ludzie tak narzekają na muchy, trują je, zabijają.

— Tak — szepnęła muszka — są i między nami próżniaki, które tylko w pokojach siedzą i nic nie robią. Ale i ludzie przecież nie wszyscy są pracowici.

Matusię główka boli.



Raz matusię boliała głowa bardzo mocno. Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć, bo malutka Jadzia ciągle biegła po pokoju, śpiewała, posuwała krzesła.

Jadzia była malutka i nie wiedziała jeszcze, co to znaczy, że matusię głowa boli. Ale niedługo przysłała starsza siostrzyczka, Cesia. Bardzo się zmartwiła, że matusia chora, zaczęła chodzić cichutko, na palcach, wyproceedowała Jadzię do drugiego pokoju i powiedziała:

— Musimy się bawić cichuteńko, cichuteńko, żeby mama usnęła. Matusię głowa boli.

— Jakte głowa boli? — zapytała Jadzia.

— Tak, Jadziulku, jakby cię kto ogromnie mocno uderzył w głowę kamieniem. Płakałabyś, prawda?

— Płakałabym — rzekła Jadzia.

— Widzisz, a biedna matusia nie płacze, chociaż ją głowa gorzej boli, a od hałasu jeszcze więcej, i jeżeli nie usnie, będzie ją tak bołała i wieczorem, i jutro. Czy chcesz, żeby matusia ciągle była chora?

— Nie chcę — powiedziała Jadzia.

— No, to baw się cichutko, żeby mama usnęła; jeżeli uśnie, prędko będzie zdrowa.

— Dobrze, ale ty mi opowiedz bajeczkę.

I dobra Cesia zaczęła opowiadać siostrze bajeczkę, długą, bardzo długą, o biednej dziewczynce, która wcale nie miała matusi.

Tymczasem mama usnęła, a kiedy się obudziła, już ją głowa nie bolała — wyszła uśmiechnięta do grzecznych córeczek, uściśkała je, ucałowała i cały wieczór była razem z nimi.

Z i m a.

Pewnego dnia mateczka obudziła Władzia i powiedziała:

— Wstań-no, synku, zobacz, jak ładnie w naszym ogródku.

— Czy znowu kwiatki kwitną? — zawołał Władzio i podniósł się uradowany.

— Oj nie — odrzekła mateczka — kwiatki prędko kwitnąć nie będą, bo cała ziemia spać poszła; przykryła się bielutką pierzynką i zasnęła bardzo smacznie.

Zaciekawiony Władzio ubrał się prędyutko i pobiegł do okna. Ach, jak dziwnie wyglądał ogród! Biały, puszysty śnieg, jakby poduszka, pokrył ścieżki, trawniki, kwiatki; nawet drzewa stały białe, śniegiem obsypane.

— Jak to ładnie, mateczko! — zawołał Władzio. — Ale mi żal biednych kwiatków; im zimno musi być pod śniegiem.

Uśmiechnęła się mama i pogłaskała jasną główkę chłopczyka.

— Ciepłutko im, Władziu, pod śniegiem — odrzekła — śpią sobie i nie czują zimna; a kiedy słońko znowu śnieg roztopi, obudzą się, zaczną rosnać i kwitnąć na nowo.

— A robaczki, mateczko? Co się z niemi stało? Czy i one śpią także?

— Niektóre śpią, Władeczku. Schowały się głęboko w ziemię i zasnęły.

— A ptaszki?

— Ptaszki uciekły daleko, tam, gdzie niema ani śniegu, ani zimy. Ale wróbelki zostały z nami, bo im żal było porzucać gniazd swoich. Musimy teraz o nich pamiętać, mój synku, żeby z głodu nie poumieraly.

— O, wiem, mateczko, będę pamiętał o nich, jak w zeszłym roku, i znowu będą się codzień dopominały o śniadanie pod okien-

kiem w moim pokoju. Patrz, patrz, mamó!
jeden skacze po śniegu, nóżki mu zziębły,
ogłada się, szuka ziarnka. Nakruszę mu bu-
łeczki.

I dobry chłopczyk pobiegł do stołu, po-
zgarniał okruszyny na spodeczek i posypał
przez lufcik wróbelkom.

Musiały im smakować, bo cała gromadka
zajadała z wielkim pośpiechem, a potem spo-
glądały w okno i świergotały głośno, jakby
dziękowały za śniadanie.

Jaskółka.

Kiedy po długiej zimie znowu zaświeciło ciepłe i jasne słońeczko, jaskółka nad okienkiem Zosi zaczęła lepić gniazdko.

Zosia ucieszyła się bardzo i codziennie przyglądała się robocie ptaszka. Gniazdeczko było z gliny, przyklepione do muru, jakby do niego przyrosło. Jaskółka wiele miała z niem kłopotu: świergotała dzień cały, latała, zносиła glinę, pracowała więcej, niż niejeden człowiek.

Wreszcie gniazdko było gotowe; jaskółka złożyła w niem swoje jajeczka, wysiedziała pisklęta, wykarmiła je, wychowała, nauczyła latać, szukać pokarmu — a tymczasem skończyło się i ciepłe lato, znowu zbliżała się zima.

Razu jednego Zosia wyjrzała przez okno, a gniazdeczko jaskółki puste — puściuteńkie, nikogo niema.

— Mama, mamó — zawołała zasmucona dziewczynka — niema naszej jaskółeczki, gdzieś uciekła, porzuciła gniazdeczko, które sama zbudowała. Gdzież ona polecieć mogła? Czy jej tu źle było z nami?

— Jeszcze jej źle nie było — odpowiedziała mama — ale mądry ptaszek wiedział, że niezadługo śnieg spadnie i zimno się zrobi, więc odleciał sobie do innego kraju, gdzie wcale niema zimy i zawsze jest ciepło, zielono na świecie.

— A dlaczegoż jaskółka tak się boi zimy — spytała Zosia. — Posypałabym jej còdzien bułeczki za okno, jak wróbelkom, i nie umarłaby z głodu.

— Jaskółka bułeczki nie je, moja Zosiu, jak ty nie jadasz trawki ani listków, je tylko muszki i różne owady, których u nas niema

w zimie, więc nie byłoby dla niej pożywienia.

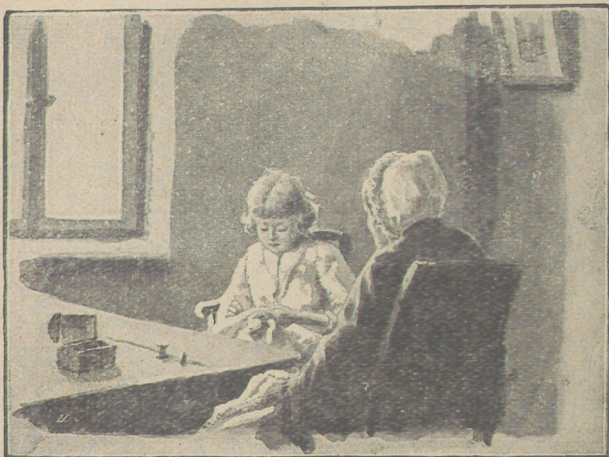
Zosia się zamyśliła.

— Tak — powiedziała wreszcie — cóżby ona tu jadła? Musiała odlecieć od nas... Ale czy wróci, moja mamo?

— Wróci, Zosiu, gdy zima minie, gdy znowu jasne zaświeci słońeczko, kiedy powróci wiosna.

Zosia nic nie powiedziała, ale czeka teraz niecierpliwie, aż się zima skończy, bo jest bardzo ciekawa, czy jej jaskółeczka powróci z wiosną do swojego gniazdka.

Janowa.



Janowa, niania Kasi, miała zawsze bardzo dużo do roboty. Zrana sprzątała pokój, słała łóżka, potem szyla dla dziewczynki, naprawiała jej sukienki, fartuszki, pończoszki, bawić się nie miała kiedy.

A Kasia bardzo lubiła bawić się ze swoją nianią.

Nieraz przemawiała do niej:

— Moja złota, moja srebrna, moja ślicz-

nusieńka Janowo, pobaw się ze mną choć minutkę. Ja będę kucharką, a ty panią. Przyjdiesz z ulicy, zapukasz do drzwi, potem ja ciebie wpuszczę, potem będziemy rozmawiały; ja ci pokażę moje dzieci, kuchnię, ugotuję ci kawy, a potem pojedziemy dorożką do twojego domku.

— Moja Kasiuniu — rzekła niania — ja będę rozmawiała z tobą, ale chodzić ani jeździć nie mam czasu. Patrz, co tutaj roboty: muszę zeszyć ten fartuszek, który rozdarłaś wczoraj, zacerować pończoszki.

— Ale jak skończysz?...

— Nie skończę do samego obiadu, a potem pójdziemy do ogrodu.

Kasia miała ochotę rozplakać się, ale nagle zawołała:

— Wiesz co, nianiu, ja ci pomogę, i prędzej zrobimy to wszystko.

— Alboż ty umiesz, dziecinko — paluszki sobie pokłujesz.

— Ty mnie nauczysz, moja złota nianiu, moja najukochańsza!

I zaczęła tak mocno ścisnąć i całować Janową, aż jej buzia poczerwieniała.

— Dobrze, już dobrze, nauczę cię, Kasiu, tylko musisz starać się bardzo.

— A potem pobawimy się razem.

— W kucharkę i panią?

Zaczęła się nauka. Kasia tak uważała, tak się starała, że sama zeszyła fartuszek i nawet pomogła niani zacerować jedną pończoszkę — a potem się bawiły razem do obiadu.

I tak się to Kasi podobało, że odtąd codzień pomagała niani w robocie, a później się z nią bawiła. Nauczyła się tym sposobem tylu rzeczy, aż się wszystkie znajome dziewczynki dziwiły, a jej było bardzo przyjemnie umieć wszystko tak dobrze, jak sama Janowa.

Nieporządny Wituś.

Wituś niezmiernie lubił bawić się zabawkami. Porozstawiał konie, krzesła, stołeczki, porozkładał gry, klocki — porozrzucił wszystko, co tylko mógł znaleźć lub dostać — i bawił się wybornie: przeprowadzał ludzi z jednego mieszkania do drugiego, zwoził z kolei rzeczy, pasażerów, albo też był strażakiem i ratował domy od pożaru.

Ale kiedy się nabawił, nigdy nie posprzątał po sobie, zostawiał wszystko na środku pokoju, a jeżeli mamusia kazała mu poukładać rozrzucone zabawki, płakał i tak marudził, że nie skończyłby za trzy lata.

Raz przyjechał do jego rodziców wujaszek z synkiem Zygmutem. Wituś bardzo się

ucieszył, zaprowadził Zygmuta do swego pokoju i zaczął mu pokazywać zabawki, gry, konie. Zygmutowi podobało się wszystko, bo on na wsi nie widział nawet takich ślicznych rzeczy.

— Zagrajmy w co! — zawołał.

— W kręgle! — wykrzyknął Wituś.

Zaczęli zbierać kręgle, rozrzucone po wszystkich kątach; ale tylko sześć znaleźli i jedną kulę. Cóż to za zabawa?

Zmartwił się Wituś.

— Poczekaj — rzekł na pocieszenie — puścimy lokomotywę, co sama biegnie.

Lecz u lokomotywy brakowało kółka, na które sam nadepnął raz pociemku, i odpadło.

— Ee! takie masz zabawki — zauważył Zygmut.

— Poczekaj, poczekaj — tłumaczył się zmieszany Wituś — zagramy w loteryjkę komiczną, to dopiero zabawne!

Zdjął pudełko z półki, powymował karty, porozkładał, ale nie mógł znaleźć numerów do ciągnięcia, a zabawne główki wszystkie prawie poginęły.

Wituś był zawstydzony. Chcieli ustawić dom z klocków — ale najpotrzebniejsze gdzieś się zarzuciły; słowem wszystkiego brakowało, wszystko było „zagubione“. Zygmunt dziwił się, a Wituś wstydził: ale przyrzekł sobie, że odtąd każdą zabawkę porządnie chować będzie.

— Jak wam się zdaje, czy dotrzyma słowa?

Sumienie.

Mamy nie było w domu. Paulina gotowała w kuchni, Maryś sam został w pokojach. Biegał sobie, tupał, potrzaskiwał z bata, otwierał drzwi, zaglądał do różnych kącików, pośpiewywał wesoło.

Wtem przyszło mu na myśl zajrzeć do spiżarki. Otworzył, spojrział: coby tu zjeść dobrego? Zjadł kilka suszonych śliwek, ułamał kawałek sera, umaczał paluszek w śmietanie, gdy nagle spostrzegł odwiązany słoik z konfiturami.

W jednej chwili wziął go z półki, a że nie

było łyżeczki, więc drewnikiem, które znalazł, zaczął wyjmować słodziutkie wisienki.

Już zjadł kilka, gdy ktoś zadzwonił, i Maryś tak się przestraszył, że o mało nie upuścił słoika.

Zrobiło mu się smutno. Wyszedł ze spiżarki, ale bał się iść do przedpokoju, zobaczyć kto przyszedł.

To nie była mama, tylko list przynieśli, jednak Maryś stracił ochotę do zabawy. Usiadł na sofie smutny i rozważał: czy mama będzie się gniewała o tę wizytę w spiżarni?

Może nie pozna — pomyślał, i zrobiło mu się jeszcze smutniej.

Nareszcie przyszła mama, ucałowała chłopczyka, pochwaliła, że się grzecznie bawił, i dała mu ciastko z kremem, które dla niego kupiła.

Maryś wziął ciastko, ale zamiast się ucieszyć i podziękować mamie, stał zawstydzony i smutny.

— Co ci jest, Marysiu — zapytała mama zdziwiona.

— Ja nie byłem grzeczny — odrzekł chłopczyk ze łzami w oczach.

— A cóż złego zbroiłeś?

— Zjadłem konfitury w spiżarni.

Mówił to cichutko, ze wstydem, ze spuszczonei oczyma, ale mama słyszała wszystko. Wzięła go za rączkę, popatrzyła w oczy, pogłaskała po główce i powiedziała:

— Źle zrobiłeś, Marysiu, ale kiedyś się przyznał, nie mogę się na ciebie gniewać, bo widzę, że sam żałujesz swojego łakomstwa. Więcej tego nie zrobisz?

— O, nie, mamó! Teraz mi znów weselej, kiedy ci powiedziałem wszystko. To bardzo nieprzyjemnie zrobić coś złego, ale jeszcze smutniej, kiedy mama o tem nie wie.

— A wiesz, synku, dlaczego?

— Nie, mamó.

— Bo wtedy, zamiast mateczki, gniewa się na ciebie sumienie.

Sen Koci.

Kocia lubiła się stroić. Kto miał brzydką sukienkę, to już myślała, że jest gorszy od niej, w ogrodzie bawiła się z temi tylko dziewczynkami, które były ładnie ubrane.

Mama jej mówiła nieraz, że nie trzeba zważać na sukienkę, tylko na to, czy dziewczynka jest grzeczna i dobra, ale Kocia jakoś o tem nie pamiętała.

— Moja mamó — mówiła — jabyłm chciała, żeby wszystkie dzieci i wszyscy ludzie pięknie się poubierali. Toby ładnie było na świecie!

Raz wróciła Kocia bardzo zmęczona z przechadzki, usiadła na kanapie i zaraz usnęła. I śniło jej się, że jest w dużym ogrodzie, gdzie rosną śliczne kwiatki, a po alejach

spacerują pięknie ubrane panienki, panie i panny. Nie widziała nikogo w brzydkim, ubogim, zniszczonem ubraniu, i bardzo jej było przyjemnie.

Wkońcu jednakże jeść jej się zachciało i poprosiła mamy, żeby kupiła jej w cukierni ciastko.

Ale w cukierni ciastek nie było, bo piekarze ślicznie się poubierali i poszli na spacer do ogrodu. W ładnem ubraniu ciastek piec nie można.

— To już chodźmy do domu na obiad — powiedziała smutnie Kocia.

Poszli do domu, ale i w domu obiadu nie było, bo kucharka w pięknej sukni i kapeluszu pojechała do ogrodu.

— Cóż teraz będzie? — rzekła przestraszona Kocia. Myślała, że może mama ugotuje jej czekolady, ale mateczka miała taką śliczną suknię i rękawiczki, że nie mogła zbliżyć się nawet do komina.

— To pójdę spać — rzekła Kocia — niech mnie Kazimiera rozbierze.

Ale Kazimierzy nie było: w ślicznej sukni spacerowała po ogrodzie, i pokój zostawiła nawet niesprzątnięty.

— Ach! — zawołała Kocia — cóż my teraz zrobimy? wszyscy się poubierali i spacerują w pięknych sukniach, a kto nam będzie gotował? kto mi pościeli łóżeczko? kto będzie piekł ciastka i bułeczki?

Chciała się rozplakać i wtem się obudziła; przed nią stała Kazimiera w brzydkiej sukni, ale Kocia tak się podobała w tej chwili, że zarzuciła jej ręce na szyję i uściskała serdecznie jak nigdy.

SPIS RZECZY.

	Str.
Dobra Ańdzia	5
Przyjaciół zwierząt	7
Kłótniki	9
Piesek Eli	11
N.e czyń drugiemu, co tobie nie miło	13
Jałmużna	15
Brat i siostra	17
Niezdadne rodzeństwo	19
Kasztanek Jurka	21
Pytanie Irenki	23
Podwieczorek	25
Krzyżyk	27
Żołnierze	29
Bukiet bzu	31
Wilk	33
Mała gosposia	35
Orzeszki	37
Pan Bocian	39
Buleczka	42
Ignas	44
Zuch Marynia	46
Niecierpliwy Adaś	49
Spioch	51
Zła zabawa	53
Mały tchórz	55
Bajeczka Romka	58
Hałaśniki	60
Lato	62
Nie wyglądaj oknem	64
Waleczna kózka	67
Złośnik	69
Zygmus i Anielcia	71
Walerek	73

	Str.
Pierniczki	75
Zmyślna kotka	78
Ogródek	80
Surowa mateczka	82
Zarozumiały Boles	84
Filuś	86
Płaksa	89
Sierota	91
Nieszczęście	93
Zajaczek	95
Konwalja	98
Chora siostrzyczka	100
Imieniny mamy	102
Lew	104
Niegrzeczna lalka	107
Zabawki	109
Bardzo mądra Zuzia	112
Azor i Misia	115
Podarunek Stasia	118
Zapałki	121
Pszczola i muszka	123
Matusię główka boli	125
Zima	128
Jaskółka	131
Janowa	134
Nieporządny Wituś	137
Sumienie	140
Sen Koci	144

Rysunek okładki:

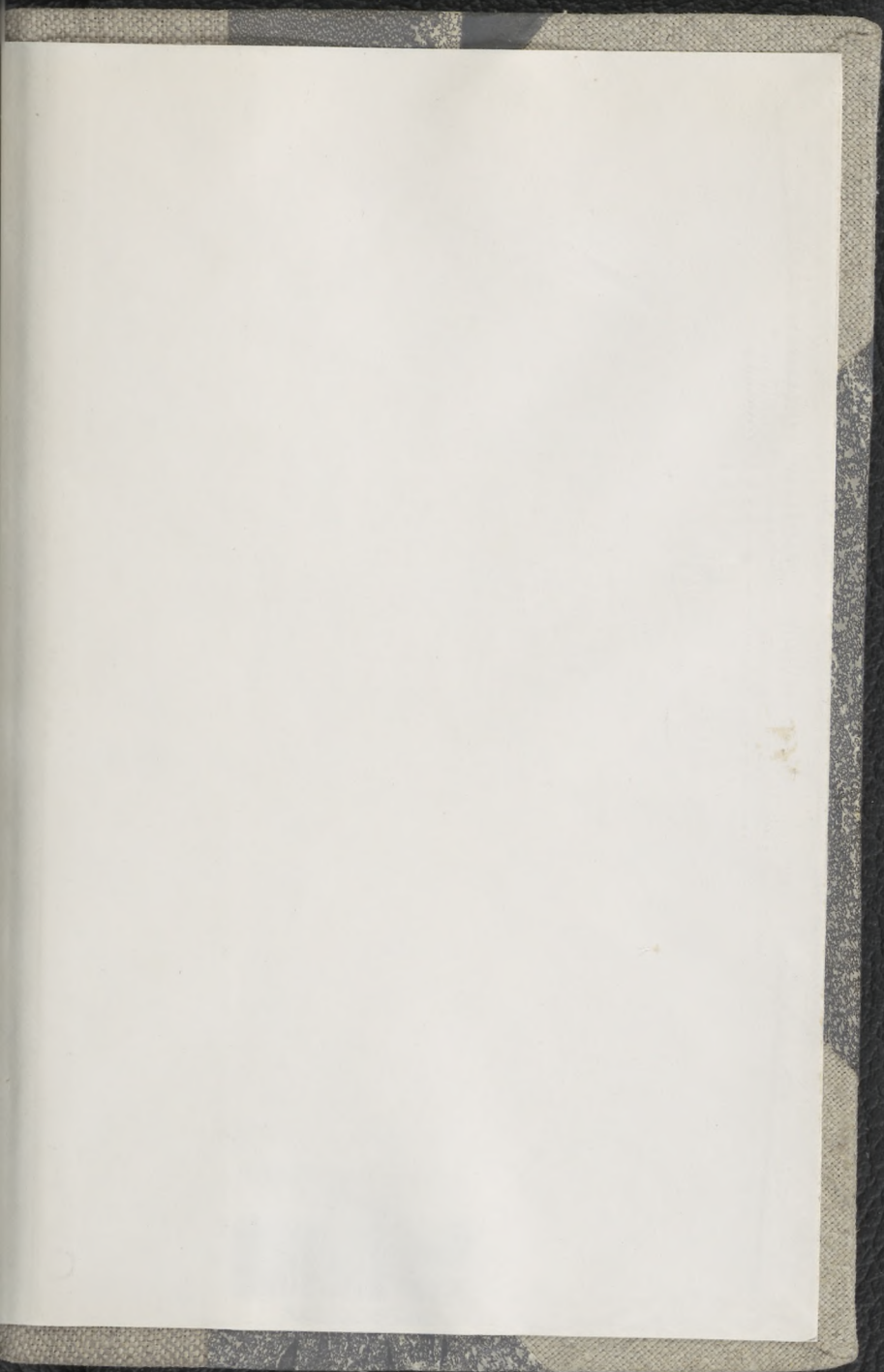
atelier tp & lm tel. 6-49-01

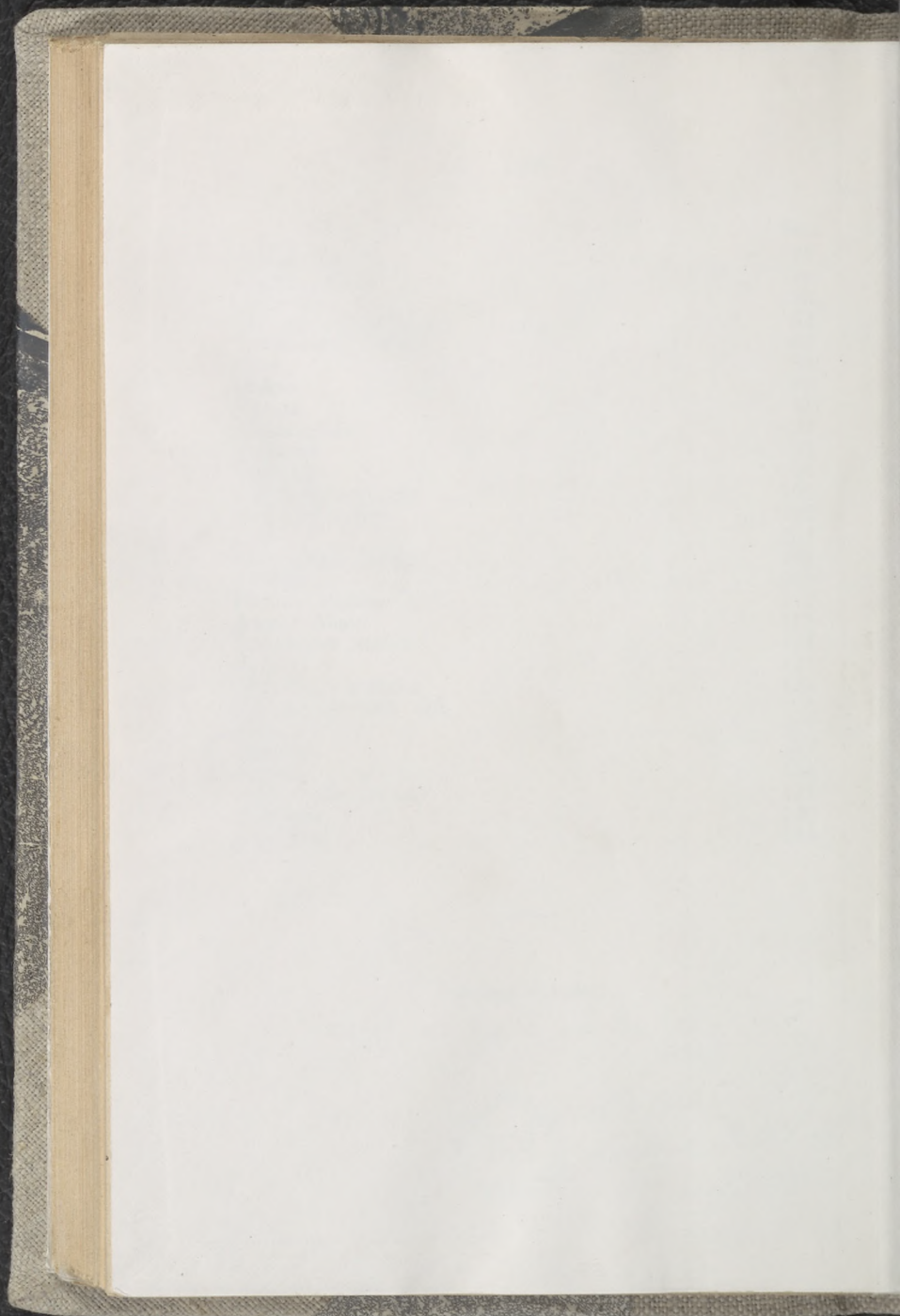
„ 8-08-26



*Antykw. Nauk.
Kieche. 3.04.89n.
- 1200 zł,*

0





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021677463



14 67397
